



SYMBRYNA



TYGODNIK WOLNYCH POLAKÓW — HEBDOMADAIRE DES POLONAIS LIBRES

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
20, rue Legendre, 20 — PARIS (17^e)
Métro: Villiers, Tel.: WAG 00-45

ROK XII — Nr 27/28 (534/535)
12 LIPCA — 12 JUILLET 1958

CENA 45 fr.
PRIX

Generał Anders : Nie « polonijną » ani zarobkową, lecz polityczną musi pozostać emigracja

London, w lipcu 1958.

Z okazji otwarcia XII Zjazdu Oddziału SPK-W. Brytania, które nastąpiło w dniu 5 lipca 1958 r. w Londynie, w Ognisku Polskim, po zagajeniu przez prezesa Z. Szadkowskiego, gen. Władysława Andersa, serdecznie powitany przez wypełniających salę obrad delegatów oraz gości, powitał Zjazd krótkim lecz ważkim przemówieniem na najważniejsze tematy bieżącego okresu.

Na wstępie, wskazując na sztandar SPK z hasłami Bóg-Honor-Ojczyzna oraz na odznaki jednostek bojowych, którymi ozdobiono estradę, stwierdził, że hasła te prowadziły nas kiedyś w bitwach, a teraz winny być dalej wytyczną w pokojowej walce o wielkie cele, nam przyswiteczające. O naczelnych tych celach nie powinniśmy nigdy zapominać i nie tracić ich z oczu na rzecz spraw drugorzędnych ani ubocznych.

Jak w strategii, również w polityce musimy zawsze zdawać sobie jasno sprawę z tego, o co przede wszystkim chodzi i temu podporządkować wszystkie wysiłki, brnąć to nas wszystkich łączy i odrzucać — co dzieli, według naszego starego hasła, które sformułowaliśmy sobie podczas wojny.

Ostatni okres złudnych nadziei, że „przemiany październikowe” stanowią etap do niepodległości, jak głosił niektórzy, wprowadził częściową dezorientację, osłabił aktywność niepodległościowej emigracji i utworzył drogę nastrojom apatii, odwrócenia się od najważniejszych obowiązków narodowych, których wypełniania naród w Kraju od nas oczekuje.

Emigracja musi być emigracją polityczną i straciłaby sens swego istnienia, gdyby taką być przestała. Wszelkie pomysły „polonijne” czy też „emigracji zarobkowej” stanowią zboczenie z drogi naszego celu naczelnego, dla którego zostaliśmy poza ojczyzną. Świat nie zaznaje pokoju i wciąż musimy stwierdzać przy naszych dorocznych spotkaniach, że międzynarodowe położenie zawiera w sobie groźne niebezpieczeństwa dla pokoju. Tak samo chmury gromadzą się nad sytuacją Polski, gdzie zaobserwowano ostatnio niepokojące ruchy zmotywowanych wojsk sowieckich, przybyszących nocami do lepszych obozów okalających Warszawę. Im trudniejsza jest sytuacja i większe zagrożenie naszego narodu, tym większe obowiązki emigracji i odpowiedzialność, jaka na nas spoczywa.

Kiedy umilkły burzliwe oklaski, które wywołały słowa gen. Andersa, imieniem Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii przemówił do Zjazdu prezes S. Lis, wskazując na doniosłą, centralną rolę, jaką w życiu społecznym emigracji odgrywa społeczność kombatancja, zrzeszona w Stowarzyszeniu

Polskich Kombatantów. Nie jesteśmy weteranami, którzy patrzą tylko w przeszłość, lecz poczuwamy się do obowiązku programowego działania na przyszłość. Jednym z ważnych problemów jest nasza skomplikowana struktura organizacji społecznych, odnośnie której szukamy właściwych dróg jej ulepszenia, co winno być w każdym razie dokonane w oparciu o SPK.

Z kolei, imieniem Zarządu Głównego witał Zjazd Oddziału W. Brytania prezes S. Soboniewski, który stwierdził, że w minionym okresie byliśmy świadkami wysuwania rozmaitych błędnych pomysłów zmiany zadań emigracji, na skutek rzekomo zasadniczych

zmian, zaszytych w położeniu Kraju. Powstały nastroje nieuzasadnionego optymizmu oraz złudnych nadziei, którym należało się przeciwstawić, a co ze strony organizacji kombatancji w zakresie ich zadań zostało dokonane. Wątpliwości odnośnie celów emigracji wpłynęły ujemnie na aktywność społeczną szerszych kół uchodźstwa i odbiły się szkodliwie na liczności kół organizacji kombatancji oraz na obowiązkowości w zakresie świadczeń finansowych. Aktualnym zadaniem naszym będzie jak najszybciej usunąć skutki emigracyjnej „odwilży”.

Ostatnim punktem uroczystości otwarcia Zjazdu, którą zaszczyli jako

goście swoją obecnością — obok gen. Andersa — ks. Infułat Michalski, prezes TRJN i Egz. Zjedn. Narodowego pp. dr T. Bielecki i A. Ciołkosz, gen. S. Kopański i wybitni przedstawiciele życia społecznego Polaków w W. Brytanii, było odczytanie przez p. S. Lewickiego depesz powitalnych od wielu osobistości oraz stowarzyszeń.

XII Zjazd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów z terenu Wł. Brytanii wywołał znaczne zainteresowanie opinii i jest oceniany jako wyraz powrotnego procesu zwiększenia aktywności społecznej polskiej emigracji na wyspach brytyjskich.

W. Z.

RYSZARD WRAGA

POKAJANIE SWAWOLNEGO DYZIA

Waszyngton, w lipcu

PRZYJACIELE zwrócili mi uwagę na artykuł p. Juliusza Mieroszewskiego (ściśle: Londyńczyka), w czerwcowym nr „Kultury”, p.t. „Gomułka przed Gomułką”.

„Przeczytaj — powiedzieli — kajają się teraz i przyznają do błędów i naiwności”.

Ogromnie cenię ludzi przyznających się do błędów, więc z ochotą zabrałem się do czytania. Artykuł napisany jest w tej samej nieporównanej a właściwej p. Mieroszewskiemu manierze, w jakiej grubo przed nim wyszczególniał swój światopogląd Gogolewski Chlesta kow w „Rewizorze”, a w bliższej nam — polskiej literaturze — nieśmiertelny Sienkiewiczowski Zoltkiewicz. P. Mieroszewski posiada znakomitą łatwość przerzucania się do „24 obrazków z historii Polski” do Toynbee'ego i Russella. Niestety — nic pośrodku! Zresztą i wzruszające obrazy historyczne nieraz mu się płaczą, a Toynbee czy Russell nie zawsze są należyście zrozumieni.

Więc i tym razem, przyznając się do wczorajszych błędów, p. Mieroszewski nie jest w stanie uniknąć nowych błędów.

P. Mieroszewski pisze np. bez mrugnięcia:

„Gomułka jest niewątpliwie innym komunista niż Bierut. Gomułka nie jest niczym agentem”.

Jeszcze tak niedawno zespół „Kultury” słusznie oburzał się, gdy nazywano Bieruta „agentem”. Oczywiście, ani Bierut, ani Gomułka, ani Thorez, ani Kadar, ani Togliatti — nie mówiąc już o Mao — nie są agentami. Są po prostu komunistami, marksistami — leninowcami, takimi jakimi byli Stalin i Trocki, jakimi są Chruszczow i Tito. Różnice w pojmowaniu taktyki nie dają jeszcze prawa do tytułu „agenta”. Agentem jest ten, kto wysługuje się

temu czy innemu obcemu czynnikowi dysojczyjnemu nie dzieląc jego światopoglądu politycznego czy ideowego. Agenturą są katolicy reżymowi, agenturą tworzą oportunisty podskakiwacze, pięknoduchy i domorośli walentyny. Agenturą są... Ale mniejsza za tym. Miejsca by nie starczyło na wyliczenie. Nazywanie Bieruta agentem jest podobnie szkodliwym uproszczeniem, jak twierdzenie, iż Gomułka z „dobrego komunisty narodowego” stał się „agentem” Chruszczowa.

W artykule p. Mieroszewskiego czy-

tamy, że Gomułka „ambicji związanym z polityką zagraniczną nie ma żadnych”, a nieco dalej, że Gomułka jest ortodoksyjnym komunista”.

Jakim sposobem „ortodoksyjny komunista” może nie mieć „ambicji związanych z polityką zagraniczną”, skoro „ortodoksyjny komunizm” to przede wszystkim uniwersalna polityka zagraniczna, to tworzenie „jednej, uniwersalnej republiki socjalistycznej” (Lenin) — jest tajemnicą p. Mieroszewskiego.

Dokończenie na str. 3-ciej

LESZEK WILIŃSKI

LASSO P. Z. P. R. NA MŁODZIEŻ

Wrocław, w czerwcu

Rozwiązanie Z.M.P. i wszystkie wydarzenia związane z tym faktem w okresie popaździernikowym od dawna niepokoiły władze partyjne i rządowe w Polsce. Niepokój ten spowodowany był tym, że z chwilą rozwiązania tej organizacji władze partyjne straciły monopol na wytyczanie dróg działania młodzieży i na kontrolę wszelkiego rodzaju poczynań młodych ludzi w

Polsce. A co najważniejsze — po przemianach, jakie zaszły w ciągu ostatnich lat w Kraju, partia nie jest i długo nie będzie w stanie narzucać młodzieży własnych poglądów ani wytyczać kierunków działań.

Dla uwytknienia tego istotnego zjawiska warto wrócić do faktów z minionego okresu. Należy więc przypomnieć, że walka o „odnowę ZMP”, rozpoczęta jeszcze w okresie przedpaździerni-

Zygzaki propagandy niemieckiej

STRASZAK niemiecki nadal odgrywa swoją rolę w Kraju, pomimo że w płaszczyźnie zwłaszcza gospodarczej nastąpiła dość wyraźna poprawa stosunków polsko - niemieckich. Również i w Niemczech Zachodnich można zaobserwować objawy sympatycznego zainteresowania sprawami polskimi, a w szczególności zmianami popaździernikowymi i sytuacją gospodarczą Polski. — Przewrotny mieszkaniec Re-

publiki Federalnej na ogół daleki jest dzisiaj od jakiegokolwiek prowokacyjnej postawy rewizjonistycznej w stosunku do Polski, a wprost przeciwnie — coraz częściej można spotkać Niemców, którzy już pogodzili się z granicą na Odrze i Nysie. Co najwyżej szukają oni na przyszłość pewnych rozwiązań i ułożenia współżycia z Polską, często w płaszczyźnie europejskiej, czy li Zjednoczonej Europy.

Sytuacje pod tym względem trochę inaczej wyglądają w Niemczech Wschodnich, gdzie niewątpliwie pokućtuje jeszcze ciagle duch imperializmu pruskiego. Ale co najważniejsze dzieła tam umiejtna sprzężna propagandy kremlońskiej, ta sama, która w Polsce konsekwentnie od 1945 roku podtrzymuje groźbę niebezpieczeństwa zaobroczności niemieckiej, w Niemczech Wschodnich reżyserzy Kremla konsekwentnie podsycają nastroje anty - polskie. I nie jest to bynajmniej jakaś teoretyczna postawa. Ze zdumieniem posyłałem ostatnio, że polskie wyścigie „Orbisu”, udające się na wystawę do Brukseli, jadą tam okrażnymi drogami przez Czechosłowację, bo mają trudności z przejazdem przez „bratnią” niemiecką republikę ludową.

Nieraz ten straszak niemiecki w oczach rodaka z kraju aż dziwne sprawia wrażenie. Przy tej zaleźności od Moskwy, w jakiej się dzisiaj Polska znajduje, wobec faktu zwłaszcza zaobroczności Wschodnich Ziemi Rzeczypospolitej, czymżeś groźniejsze może być teoretyczne na razie niebezpieczeństwo niemieckiego „Drang nach Osten”.

Pod tym względem, trzeba to przyznać, wolni Niemcy wykazują więcej realizmu politycznego szukając jakieś długofalowe ułożenie stosunków z Polską, w oparciu o dokonane, fakty zwroconych po wojnie Polsce Ziemi Zachodnich.

Oczywiście można powiedzieć, i większość społeczeństwa polskiego z emigracją włącznie tak sądzi, że jest to tylko czasowa, czysto koniunkturalna

Dokończenie na str. 2-giej

Sztokholm, w lipcu
NIE ulega kwestii, że wewnątrz bloku wschodniego panuje burzliwy klimat polityczny i że na razie nie wskazuje na uspokojenie i stabilizację. Centrum cyklonu jest ciągle zagadnienie przywództwa partii sowieckiej, w stosunku do „równych” partii innych krajów.

Kiedy na XX kongresie partii w Moskwie w r. 1956 przyjęta została zasada, że „każdy kraj ma prawo do własnej drogi do socjalizmu” — ładunek dynamitu został założony na najczulszych węzłach organizacji światowego komunizmu. Wypadki w Polsce i na Węgrzech na jesieni 1956 r. szybko potwierdzają, że tak jest.

Twórcą i poplecznikiem tej nowej teorii o pewnym marginesie wolności u sowieckich satelitów był Chruszczow, a fakt, że wówczas Tito wywierał na niego wpływ, niewiele zmienia samej rzeczy. Teoria ta miała zawsze zdecydowanych przeciwników nie tylko wśród t. zw. stalinistów, ale również wśród teoretyków komunizmu sowieckiego, którzy do niedawna mieli monopol w interpretowaniu doktryny co do jej praktycznego zastosowania w polityce.

Ze Chruszczow użył teorii o „własnej drodze do socjalizmu” dla własnych celów taktycznych, żeby przez zmniejszenie przeciwników w bloku wschodnim i odprężenie w jego polityce wewnętrznej zdobyć sobie elementy potrzebne do przypięszenia jego własnej drogi do władzy — też nie zmienia w istocie rzeczy, jego roli ani odpowiedzialności za polityczne następstwo tej teorii. Wydaje się dziś już pewne, że dokoła właśnie tych następstw powstała w Sowietach opozycja przeciw Chruszczowowi.

**

Z natury rzeczy opozycja ta musiała być najsiłniejsza w wydziale za granicznym CK., w którym sprawa pierwszeństwa i kierownicza rola partii sowieckiej nie jest sprawą teorii czy doktryny, lecz podstawą praktycznego działania tego centrum, którego funkcje zawsze były prawie identyczne z funkcjami nieboszczyków kominternu i kominformu. Szefem tego wydziału był M. Susłow, jednocześnie członek sekretariatu i prezydium CK. Uchodzący powszechnie za Nr 2 w hierarchii partyjnej po Chruszczowie.

Jest wysoce prawdopodobnym, że wszelkie tendencje opozycyjne, tak ze strony kierowniczej wydziału zagranicznego CK. (odpowiedzialnego również za politykę w stosunku do satelitów), jak i ze strony partyjnych teoretyków (Susłow też do nich należy)

Dokończenie na str. 2-giej

TYMON TERLECKI

Humanista wśród ludzi

W cennej kolekcji „Pamiętniki i wspomnienia”, ogłaszanej przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie pod redakcją Tadeusza Bukowskiego, ukazała się książka Ludwika Hieronima Morstina „Spotkanie z ludźmi”. Potwierdza ona zasadę, że o wadze książek tego rodzaju rozstrzygają następujące okoliczności: kto wspomina? co czy kogo wspomina? i wreszcie — jak to robi?

Zbiór morstinowski zawiera dwadzieścia sześć sylwetek ludzkich, opisuje dwadzieścia sześć przygód duchowych, przelotnych zetknięć lub długotrwałych związków przyjacieli i zażyłości. Wśród ludzi, o których Morstin pisze jest pięćciu cudzoziemców: Niemiec Wundt, twórca psychologii doświadczalnej, trzech Francuzów — poci Claudel i Valery oraz rzeźbiarz, twórca paryskiego pomnika Mickiewicza Bourdela — i pisarz austriacki Hoffmannsthal. Spotkanie z nimi liczą się do przygodnych, choć nie są bynajmniej blahe. Z okazji Claudela dowiadujemy się o tym, że Morstin przekładał jego dramaty „Zwiastowanie” ale niestety nie ogłosił go drukiem i zagubił. To co ma on do powiedzenia o Hoffmannsthalu jest interesujące i cenne, pokazuje jak ten wybitny twórca, ciągle pamiętający dzieki „Jedermannowi” i „Elektrze”, odnosił się do literatury polskiej, jak

wysoko stawiał Krasińskiego i Wyspiańskiego.

Główną wartość stanowią wspomnienia o Polakach. Są wśród nich ludzie należący do pokolenia starszego: nauczyciele i przewodnicy Morstina, jak legendarny filozof, epikurejczyk, smakosz, książd i zakonnik — Zmartwychwstańca Stefan Pawlicki czy nad miarę zapomniany historyk „przed polskich i przedchrześcijańskich początków naszej historii”, wielki pan i wielki umysł, esteta i tatelnik, wielobiciel, przyjaciel i korespondent Modrzejewskiej Karol Potkański, czy wreszcie spotkany w czasie studiów monachijskich Przybyszewski, „mag — jak o nim mówi Morstin — który stale jeździł na rywanie zaprzężonym w hipogryfy złowieszczych szaleństw”. Są wśród ludzi wspominanych przez Morstina jego wybitni współczesnicy: Karol Hubert Rostworowski, autor „Judasza” i „Niespodzianki”, Boy-Zelenski, niezrównany tłumacz literatury francuskiej, jeden z największych aktorów pierwszej połowy tego wieku Osterwa i największy inscenizator Leon Schiller. Są na koniec ludzie młodszy od pamiętnikarza a już nieżyjący, z którymi umiał znaleźć wspólny język i którym świadczył szczerą przyjaźń, jak Maria Pawlikowska - Jasnorzewska czy Jan Lechoń. Osobiście bardzo żałuję, że wśród zjaw wywołanych przez Morstina nie ma Leopolda Staf-

fa: był on jedną z najbardziej mu pokrewnych dusz poetyckich, długoletnim przyjacielem i przez wiele lat rocznym gościem w jego domu.

Nie wszystkie szkice portretowe stoją na tym samym poziomie. Wyrażenie jedne modele mocno odcisnęły się na wrażliwości portrecisty, inne ledwie ją musnęły. O jednych pamięć zachowała sporo ważkich szczegółów, składających się na wymowną całość, sylwetki innych trzeba było wspierać źródłami drukowanymi, sztukować cytatai z ich własnych utworów. Ani Pawlikowska, mimo że jak Morstin była wytworem Krakowa, ani Lechoń, mimo że był bliskim przyjacielem, nie występują w całej swej odrębności i złożoności. Błado również rysuje się profil tak ciekawej osobowości jak Schiller. Nie można się temu zbytino dziwić, jeśli to krakowskie dziecko i dziedzic Wyspiańskiego nie miał przez całe twórcze życie dostępu do swego rodzinnego miasta, działań, przechodził dramatyczne przemiany, wznosił się na wyżyny gdzie indziej, był wartością wzbudzającą spory, sprzeciw, gwałtowne dyskusje.

Ale niektóre wspomnienia mają charakter magistralnych portretów, jak to co Morstin napisał o księdzu Pawlickim, lub migawkowych zdjęć chwytających na gorąco samą istotę osoby, jak opis jednego spotkania ze

Dokończenie na str. 3-ciej

Dokończenie na str. 3-ciej

W.J.G.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Stanowisko Francji

KTOKOLWIEK siedził sposób referowania zdarzeń w toku majowego przesilenia rządowego we Francji przez komunistyczną prasę warszawską, uderzony być musiał zarówno bez...

muł tak ogólnikowych, że zawierają one w sobie zaród nowych nieporozumień. W poszukiwaniu ścisłości i precyzji należy się ograniczyć do rozpatrzenia podłożowego problemu rozbrojenia i łączności z nim zagadnień, jak np. spraw dotyczących bezpieczeństwa w Europie. Gen. de Gaulle kate...

Poprzedza je chronologicznie ułożony od dnia 13 maja kalendarz wydarzeń. Zwolennicy dojdą do władzy gen. de Gaulle występują w tym kalendarzu pod nazwą „ultrakolonialistów”. Od pierwszego dnia rzekomego puczu w Algierze, aż po dzień głosowań w parlamencie na rzecz szerokiej pełnomocnictw nowego rządu, komunistyczna partia Francji ma odgrywać rolę jedynego autentycznego obrońcy republiki i wolności.

Lakoniczna nota premiera Francji ma tym większe znaczenie, że stanowi ona wypowiedź meża stanu, którego nikt nie posiada o skłonność do krętych oświadczeń lub dyplomatycznej fałszywej gry. Jego przeciwstawienie się naczelnym tezom sowieckim ma wskutek tego znaczenie niemałe.

Prawdziwie jednak żalownie wypadła ta rola. Usilne zabiegi komunistów o „jedność mas pracujących i wszystkich demokratów w obliczu niebezpieczeństw faszyzmu i prób przeniesienia zamachu stanu z Algierii do metropoli” — pozostają bez skutku. Nie ma po prostu amatorów zdecydowanych na „przyjęcie wyciągniętej dłoni komunistów”.

Co więcej, wystąpienie gen. de Gaulle cementuje solidarność Zachodu w chwili, kiedy komunistyczny władcy Kremla miotają się dosyć bezradnie w swojej wyężonej aktywności dyplomatycznej. Zarówno ich rozgrywka w sprawach Węgier i Jugosławii, jak i coraz to nowe usiłowania unieszkodliwienia „konferencji na szczycie”, przez zastąpienie uzgodnienia tematów głównych poszukiwaniem technicznego rozwiązania szczegółów, świadczą o piętających się przed nimi trudnościach. Jasne sprzecyzowanie stanowiska mocarstw zachodnich jest w tych warunkach jak najbardziej pożądane.

W. J. G.

ZNISZCZONE ZABYTKI KULTURALNE

DO licznych opisów zniszczonych za czasów Bieruta starych zamków, pałaców, dworów itd. przybył jeszcze opis spustoszenia Opiniogóry (koło Ciechanowa na Mazowszu), niedługo siedziby Zygmunta Krasińskiego. Z tego, co w tej sprawie podała warszawska „Nowa Kultura” (11 maja) widać, że ten pałac ucierpiał jeszcze bardziej niż dworek w Obłęgorku, gdzie mieszkał Sienkiewicz.

Podziurawiony pociskami dach — pisze „Nowa Kultura” — rozkradzione okna i drzwi, zdarte sztukaterie, wyrnięte bele stropów, wyrwana ścianach wewnętrznych po „wyszbrowanej” cegle, rozebrane schody, nawet metalowe ramy okien i drzwi, a także balustrady powędrowały wyrwane rękami barbarzyńców na złom. Bawiem w jednym z piwnicznych pomieszczeń pałacyku mieści się tutaj punkt skupu złomu.

Park w Opiniogórze też zniszczono. Wycięto nawet kilkanaście rzadkich drzew, bo miejscowy sowchoz potrzebował twardych kłoców.

W imię prawdy stwierdzić należy, że tu i ówdzie z ogromną starannością i wielkim kosztem odnowiono zabytkowe budowle (Warszawa, Gdańsk). Niestety, znacznie więcej jest takich budynków, które uległy zniszczeniu.

CHŁOPOM BRAK NARZĘDZI

DZIWAGANIE się rolnictwa po likwidacji większości kotłochów i zmniejszeniu sowchozów jest faktem tak niewątpliwym, że prasa warszawska oczekuje w bież. roku dalszego wzrostu plonów, a następnie także zwiększenia się wywozu rolniczego (masło, jaja, mięso). Postępy rolnictwa mogłyby być znacznie większe, gdyby chłopom nie brakowało narzędzi.

„Trybuna Ludu” (22 maja) doniosła, że chłopcy z Poimia pod Myślinicami

przywieźli do Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego drewniane widły.

„Także właśnie widły” — pisze organ reżymowy — zaczęły w woj. krakowskim wchodzić w modę.

Jest to typowe dla gospodarki komunistycznej. Produkuje się ciężkie i kosztowne maszyny, by wykonać plan, ale nie dba się o codzienne potrzeby drobnego konsumenta. W Polsce czasami brakuje żelaznych widel, w Rosji za Stalina trudno było o gwałdzie, grzebień czy lusterka.

Nowoczesne maszyny rolnicze są w zasadzie bardzo pożądane, ale jeśli są lichej jakości, łatwo się psują i zbyt kosztowne, to przynoszą deficyt. Nic dziwnego, że warszawska „Polityka” (1 lutego 1958) napisała o Państwowych Osrodkach Motorowych: „W sumie POM-y dopłacają rocznie do 500 posiadających kombajnów blisko 10 milionów złotych”.

To znaczy 20 tys. złotych do każdej sztuki. Bagatel!

Dostarczanie chłopom plugów, kos i widel dałoby nie deficyt, lecz zyski.

DEFICYTY W HANDLU I PRZEMYSLE

JESLI reżym warszawski spojrzał już, że próba upaństwowienia rolnictwa przyniosła katastrofalne wyniki, to jednak z uporem broni 2 innych nonsensów: upaństwowienia handlu i upaństwowienia przemysłu. Ale życie wciąż przynosi oczywiste, niezbité dowody, że to jest droga zupełnie błędna.

Wzrost handlu. Warszawski „Express Wieczorny” (16 kwietnia) pisał:

„Jak się dowiadujemy, Stołeczne Przedsiębiorstwo Handlu Warzywami i Owocami, prowadzące w Warszawie 150 sklepów detalicznych i 100 punktów sprzedaży, czyli około 60 proc. całej sieci tej gałęzi handlu, po podsumowaniu wyników pracy w r. 1957

wykazało straty w kwocie 7 i pół miliona złotych”.

A zatem nie dość, że ludzie muszą czasem stać w ogonkach, że nieraz brakuje takich artykułów jak cebula czy jabłka, jeszcze ogromne deficyty!

Jednym z powodów niedoborów jest potworny wzrost biurokracji. O górnictwie węglowym „Trybuna Ludu” (13 maja) pisała:

„Kopalnia „Mysłowice” tuż przed wojną zatrudniała około 100 pracowników umysłowych, technicznych i administracyjnych. Po wojnie, mimo, że wydobyte jest tu niższe, urzędników mają już „Mysłowice” w 1951 r. 289 osób, zaś w 1-szym kwartale 1958 — jest ich już 395 osób!”

Cztery razy tyle! Innym źródłem deficytów jest bałagan w dostawach. Według „Głosu Pracy” (6 lutego) na nieregularne dostawy surowców narzekal przewodniczący rady robotniczej fabryki samochodów osobowych.

„Sprawa wydajności pracy. Nie wszędzie jest z nią najlepiej, ale zdaniem przewodniczącego rady robotniczej FSO na Zeranu, tow. Piotrowskiego, nie byłoby z z nią najgorzej, gdyby robotnicy rzeczywiście pracowali cały miesiąc. Niestety, tak się nie dzieje. Zaopatrzenie „nawala”. W pierwszej dekadzie miesiąca ludzie najczęściej nie mają co robić”.

Jeśli tak jest z fabryką uprzywilejowaną przez reżym (Zerań był twierdzą zwolenników Gomulki w październiku 1956), to cóż się dzieje na dalekiej prowincji albo w warsztatach przedsiębiorców prywatnych.

POMYSŁNE EKSPERYMENTY

BEZSENS dotychczasowych metod gospodarki w przemyśle był tak oczywisty, iż już z początkiem 1957 r. zezwolono na gospodarke eksperymentalną w niektórych zakładach. „Eksperyment” polegał głównie na przyznaniu zakładom dużej samodzielności co do wyboru typu produkcji, organizacji pracy i wypłaty zarobków. Uniezależniono je w pewnym stopniu od biurokratów w ministerstwach warszawskich. Eksperyment dał wspaniałe wyniki, jak to na zebraniu Rady Ekonomicznej wykazał (według „Życia Warszawy” z 25 maja) prof. Brus:

„Otóż opierając się na analizie 13 zakładów eksperymentalnych stwierdziliśmy, że we wszystkich tych przedsiębiorstwach wzrost produkcji globalnej w 1957 r. był na ogół wyższy niż przeciętny, bo od 100 do 133 proc. w stosunku do r. 1956 (przeciętny wskaźnik wynosił 96 proc.)”.

Wynikałoby z tego, że wzrost był dziesięciokrotnie większy niż w innych fabrykach! Co więcej, okazało się, że wzrosła nie tylko produkcja, ale i zyski.

W tych warunkach należałoby oczekiwać, że narazicie da się pełne szanse inicjatywie prywatnej. Ale marksieści będą z tępym uporem bronić wskazówek Lenina i Stalina.

CEMENT I SIARKA

WYCHODZĄC z założenia, że Sowieto sojusznik, reżym warszawski czyni od szeregu lat duże inwestycje na wschód od Wisły, jako na obszarze bezpiecznym z militarne punktu widzenia. Drugi powód, może jeszcze ważniejszy, to fakt, że tereny te, zwłaszcza woj. lubelskie i rzeszowskie, mają więcej skarbów naturalnych niż dawniej sądzono.

W rezultacie powstaje kilka wielkich osrodków przemysłowych. W ziemi chełmskiej tworzy się t. zw. zagłębie cementowe. W lecie 1957 zaczęto budowę wielkiej cementowni w Chełmie, która ma zatrudnić 1500 robotników. Fabryka budowana według wzorów duńskich ma kosztować 700 mil. złotych i będzie produkować 1 milion ton cementu rocznie. W pobliskim Rejowcu, gdzie fabryka istniała już dawniej, produkcja ma być zwiększona do 900 tys. ton. Natomiast w Wierzbicy koło Radomia, gdzie po wojnie zbudowano całkowicie nową fabrykę według planów sowieckich, produkcja dopiero za 2-3 lata dojdzie do 850 tys. ton.

Zagłębie siarkowe koło Tarnobrzega, leżące częściowo na terenie woj. rzeszowskiego a częściowo kieleckiego, ma zatrudnić 6 tys. robotników. Czesi dali pożyczkę 25 mil. dolarów na inwestycje.

Przez pewien czas istniały wątpliwości co do wartości inwestycji, gdyż wydobywana ruda zawierała tylko około 20 proc. siarki. Później jednak dokopano się rudy bogatszej, zawierającej przeciętnie 30 proc. siarki. Przeszło 270 gospodarstw chłopskich trzeba zlikwidować. Chłopi na ogół nie chcą wędrować do odległych okrugów i domagają się, by im w zamian dano grunta w pobliskich powiatach, wydzielone z sowchozów albo żeby im później oddano ich własne pola, po wydobyciu rudy siarkowej i ponownym przykryciu terenów kopalnianych grubym „plaszczem” ziemi. Techniczna operacja taka jest do pomyślenia, bo rudę wydobywa się systemem odkrywkowym, to znaczy nie kopie się głębokich szybów, lecz zdejmując się ziemię z powierzchni, by dożyć do płytko leżących pokładów.

Wzrósł naturalnie ruch budowlany. Pod Tarnobrzegiem, na południowy zachód od miasta, ma powstać nowa osada obliczona na 15 tys. mieszkańców.

Stanisław SOPICKI

SOVIETICA

Dokończenie ze str. 1-szej — koncentrowały się w osobie Susłowa. Starcie między nim i Chruszczowem wydawało się od dawna nieuniknione — nie tylko na tle „własnej drogi do socjalizmu”, ale także na tle — ostatnich posunięć Chruszczowa w dziedzinie likwidacji MTS i skasowania przymusowych dostaw w kolektywizowanym rolnictwie. Oba te posunięcia były mocno krytykowane przez teoretyków jako naruszenie zasad doktryny komunistycznej.

Nie wiemy nic o samym przebiegu Chruszczow - Susłow, wiemy natomiast że od 17 maja Susłow zniknął z życia politycznego Sowietów i że z prasy sowieckiej wygląda niedwuznacznie, że odebrano mu jego funkcje, które pełnił przez 100 proc. kadencji Chruszczowa-Kiriczenko. Wiarygodne pogłoski z Moskwy mówią o dalszym czystym aparacie w wydziale zagranicznym CK. i o panice wśród „teoretyków”.

ZASADA „własnej drogi do socjalizmu” musiała być — na tle późniejszych wypadków czymś w rodzaju groźnego demona, niebezpiecznie wypuszczonego z flaszki w znanej arabskiej bajce. Demona trzeba było za wszelką cenę wpakować z powrotem do flaszki. Susłow to rozumiał od dawna i działał na własną rękę — nie wiadomo, czy z biogostawienstwem Chruszczowa czy bez.

Susłow korzystał zawsze ze swej samodzielności i Chruszczow na ogół nie mieszał się do jego kompetencji. To z inicjatywy Susłowa powstał w lutym r. b. zarodek nowego kominformu w Pradze na tajnym zebraniu przywódców partii satelickich, bez Tito i Gomulki.

Początkowym celem zebrania było stworzenie centrum informacyjnego,

W NASTĘPNYM NUMERZE: „DODATEK LITERACKO-NAUKOWY”

Zygzyki propagandy niemieckiej

Dokończenie ze str. 1-ej legalność niemiecka, która natychmiast ustanie, gdy koniunktura się zmieni. To wszystko prawda i jeszcze sporadyczne fakty nawet to potwierdzają.

Nie zapominajmy jednak, że istnieje też i czynnik czasu, który jeśli chodzi o ziemię nad Odrą i Nysą gra na naszą korzyść, zwłaszcza wobec nieodwracalnego faktu przesiedlenia po wojnie ludności niemieckiej z tych ziem. Rozsądni Niemcy doceniają nieodwracalność tego wydarzenia, jak również rozumieją, że czas pracuje na naszą korzyść.

Na tle tych rozważań o rozsądku nie mieckim i może przesadnie nieufności polskiej dość nieoczekiwany wydaje się krok niemieckiej propagandy w Bonn.

Oto ni mniej ni więcej tylko ostatnio Ministerstwo spraw uchodźczych Niemieckiej Republiki Federalnej rzekło różnym ludziom na Zachodzie, a wśród nich i niektórym naszym rodakom wydawnictwo zatytułowane: „Dokumentacja dotycząca wysiedlenia Niemców z Europy Środkowo - Wschodniej”, z uwzględnieniem w pierwszych dwóch tomach wysiedlenia Niemców z

zdołnego do wydawania nowego czasopisma na miejsce zawieszonych organu kominformu „O trwały pokój i o demokrację ludową”. W czasie jednak zebrania uchwalono, że nowe centrum będzie miało większość tych uprawnień, które miały wydziały wykonawcze kominformu i kominformu, za których nakazami stały sankcje natury policyjnej.

Stało się jasne, że od tej pory przywódca partii komunistycznych w państwach satelickich staną się odpowiedzialni za swoją działalność i poglądy nie tylko w zakresie kariery ale także w obszarze i fizycznej.

Wyrok na węgierskich przywódców z Imre Nagy na czele należy zatem rozumieć jako sygnał, że nowy porządek „kominformowski” został restytuowany w partiach satelickich i że system wszedł w życie. Oczywiście, wyrok ten także stanowi ostrzeżenie dla przywódców satelickich, m. in. np. dla Gomulki.

Zasada bezapelacyjnego priorytetu i zwierzchnictwa partii sowieckiej uchyła i zastępuje poprzednio przyjętą zasadę „własnej drogi do socjalizmu” i likwiduje ten margines swobody, z jakiego państwa satelickie mogły w związku z uchyloną zasadą korzystać.

ROZWÓJ ten na froncie satelickim i opozycja postanowiła wykorzystać dla zaatakowania Chruszczowa. Jak to często ma miejsce w rozgrywkach na Kremlu, wykorzystano nieobecność Chruszczowa w początki kwietnia, kiedy ten po świeżym objęciu stanowiska premiera wyjechał do Budapesztu.

Polityczną wyjątkowość ataku była kampania teoretyków przeciw „rewizjonizmowi”. Nowy kominform jest — podobnie jak dawny — tworem poniekąd kadubowym; nie należy do niego Tito. Był on więc wygodnym celem obstrzału, od którego pociski miały rozkosztować w kierunku Chruszczowa. W dniu 5 kwietnia Susłow podpisuje

terytoriów na Wschód od Odry i Nysy.

Co oznacza w 13 lat po wojnie publikowanie tej swego rodzaju „czarnej” czy „białej” księgi? Czyżby była to zachęta do przypomniańcia światu, wydania nowej dokumentacji różnych hitlerowskich eksperymentów z tej epoki?

Wiemy, jak bolesną i niehumanitarną jest operacja wszelkich przesiedleń. Tego powtarzać bezkarnie nie można i nie wolno. Po cóż więc nawracać do tego, co wielu Niemców uważa za fakt nieodwracalny? A może to, żeby przypomnieć światu gwałty i okrucieństwa armii czerwonej popełnione przy tej operacji? Jeśli tak, to czy jest to naprawdę Niemcom tak bardzo potrzebne? Słusznie londyński „Dziennik Polski” zacytował przy tej okazji staropolskie przysłowie, że w domu powieszzonego nie mówi się o stryczku.

Dla nas cały ten wyskok propagandy Bonn jest jedynie przestrożką, która w pewnej mierze tłumaczy i usprawiedliwia nieufność społeczeństwa polskiego do dobrych intencji niemieckich.

Teo.

synny cyrkularz zakazujący partiom komunistycznym wysłanie delegacji na kongres jugosłowiańskiej partii, gdzie jej nowy „rewizjonistyczny” program miał być dyskutowany.

W ten sposób czysto ideologiczna propaganda przeciw „rewizjonizmowi” od razu przekształciła się w akcję polityczną przeciw Tito, temu samemu Tito, którego Chruszczow niedawno wciągnął z powrotem do bloku Wschodu i przed którym w r. 1955 oskarżał Berię za wyrzucenie partii Jugosłowiańskiej z kominformu.

KIEDY Chruszczow wrócił z Węgier 10 kwietnia, spotkał się z faktem dokonany. Z mowy jego na lotnisku wykreślono w druku wszelkie słowa potępienia Rakosiego i stalinistów na Węgrzech. Do kominformowców i teoretyków Susłowa, dołączali się stalinieści, a roli kompartii szturmowej podjęła się chińska partia komunistyczna.

Pekin miał zawsze zasługi w stosunku do Chruszczowa. Jego zainteresowania polityczne wyrażają się w aktywności na Zachodzie i w tendencji pomijania Chin jako czynnika polityki międzynarodowej. Dzięki teorii Chruszczowa o „własnej drodze do socjalizmu” rozluźniły się więzy Komekomu, a pomoc bloku Wschodniego, jako całosci, dla Chin zmalała. Na tej pomocy zaś Chinom zależy dziś więcej niż kiedykolwiek, ponieważ Pekin ma nadzieję, że rok osiągnął własną bombę wodorową, a wiadomo, że oparcie się tylko na chińskich rezsursach, bez pomocy ekonomiczno-technicznej z zewnątrz — osiągnięcie tego celu może być opóźnione.

W tych warunkach zamiar podarowania heretykowi Tito 300 milionów dolarów przez blok Wschodni musiał się wydać krzykzącą niesprawiedliwością. Przecież to Tito przede wszystkim przyczynił się do osłabienia dojrzej krowy — Komekomu.

Chiny dopięły swego: pomoc Jugosławii została cofnięta.

DO rozgrywk między Chruszczowem i opozycją doszło zapewne na majowym plenum CK. Nie ulega wątpliwości, że Chruszczow wygrał to starcie, usunął przy tym Susłowa i swoim zwyciężonym przywłaszczył sobie ich program kominformowski i ich dotychczasowy monopol na atakowanie Tito. Przemówienie Chruszczowa przeciw Tito na Kongresie bułgarskiej partii komunistycznej w Sofii 3 czerwca świadczy o tym dobitnie, podobnie jak przemówienie sekretarza tej partii Zivkova, mianujące wyraźnie Chruszczowa szefem nie tylko Sowietów, ale także międzynarodowego ruchu komunistycznego. Jest to tytuł, z którego Stalin był najbardziej dumny.

Zresztą nie są to tylko słowa. Na miejscu Susłowa kieruje dziś wydziałem zagranicznym CK. i podległym mu, nie gotowym jeszcze, praskim nowym kominformem — Kiriczenko. Jego zaś bez reszty kontroluje sam Chruszczow.

Chruszczow zrobił więc znowu ważny krok w kierunku rozszerzenia swej władzy. Pozostaje pytanie, czy władza ta spoczywa na trwałych podstawach. Klimat burzowy na Kremlu trwa mimo ostatniego zwycięstwa Chruszczowa i wszelkie niespodzianki wydają się możliwe.

Tadeusz NORWID

HENRYK CZESŁAW ŚLIWIŃSKI

San Lorenzo del Escorial

OKOŁO pięćdziesiąt kilometrów na północnym zachód od Madrytu, na zalesionym stoku pasma Sierra de Guadarrama, wznosi się masywny, jednyny w swoim rodzaju klasztor z granitu, znany w świecie pod nazwą Monasterio de San Lorenzo el Real. Jego monumentalny, surowy wygląd, na skraj pośpejną równini i zbroczy niebieskomych gór, w ogromie ascetycznego krajobrazu Nowej Kastylii, staje jeszcze osobliwszy.

Miejscowość, gdzie zbudowany został ten okazały gmach na życzenie króla Filipa Drugiego, pragnącego upamiętnić zwycięstwo swojej armii nad Francuzami pod San Quentin, oraz spełnić przysiężenie dane przed decydującą bitwą świętemu Wawrzynowi, jest wymarzoną miejscem do wilegiatury; już za czasów tego wielkiego monarchy była odwiedzana przez Madrytczyków, uciekających z rozpalać letnim upałem murów stolicy. El Escorial w rzeczywistości jest niewielką oazą na tym beżowym i złotym wyciu, jakim jest Nowa Kastylija, jedna z najwięcej opiewanych ziem hiszpańskich w poezji i w prozie, a która wydała bohaterów Cyda i tragicomicznego wioźcę — Hidalga Don Kichota.

Niełatwy był wybór terenu pod budowę klasztoru, gdyż Filip II życzył sobie obok szczególnego widoku także obfitości wody, której jakżeż bardzo brak w okolicach Madrytu. El Escorial okazał się idealnym miejscem, gdyż wody tam w bród i drzewa oraz granitu pod dostatkiem. Praca, powierzona zakonnikowi ze zgromadzenia Świętego Hieronima Antoniemu de Villacastin, została rozpoczęta 13 kwietnia 1563 roku a poświęcony był tak widoczny, że po dziewiętnastu latach ostatni kamień zakończył to niesamowite dzieło ludzkiego geniusza.

Klasztor św. Wawrzyńca jest niezmierną masą szarego granitu o kształcie i charakterystycznych cechach obronnej fortecy. Jest budowlą symetryczną, srogą i nagą, której mury pokute zostały niezliczoną ilością jednakowych okien i ozdoboń kępnymi wież, szczytami i kopułami. Nie znajdziesz w tym wszystkim ciepłego tonu architektury Odrodzenia, lub wdzięku greckiego polotu i piękna. Ma się do czynienia z ostantacyjnymi liniami geometrycznych figur i wykresów, nieprzemijalnym dostojęstwem i żenującą powagą. Patrząc z lotu ptaka na ten niezwykle kompleks zabudowy wydaje się, że spoglądamy na gigantyczny ruszt, mający przypominać po wszystkie czasy swoim wyglądem miejsce męczeństwa św. Wawrzyńca.

Aby lepiej zdać sobie sprawę z ogromu tego gmachu, niech posłużą do tego następujące dane: klasztor posiada 9 wież, 16 dziedzińców, 88 fontann, 7 refektarzy, 13 modlic, 86 klutek schodowych, 15 wirydarzy, 300 cel, 1200 drzwi i bram oraz 2673 okien.

Styl klasztoru jest klasycysto-renaansowy, przyprószony natchnieniem epoki, w której Święta Inkwizycja działała w pełni swojej srogości, a wpływ egzaltowanego mistycyzmu, jak i surowości głównego architekta Jana Babbysty Herrera, nie były jak w tym rolę odegrały.

Główna fasada monasteru jest utrzymana w stylu doryckim. W środku, w ramach osmiu kolumn, znajduje się ogromny rozmiarów portal, zakończony jónskim tympantem. W górnej części tego wspaniałego wejścia widać kolosalną, wykutą w granicę figurę św. Wawrzyńca, dźwiga tołańdzkiego rzeźbiarza Jana Babbysty Moniego. Na kracach zaś stoją dwie graniste wieże, a między każdą z nich i portalem znajdują się dwa mniejsze wejścia, mające na celu urozmaicić monotonię tejże gigantycznej fasady.

Wchodząc do środka, jeszcze bardziej odczuwa się ciężar panujący tam powagi, gdyż linie ścian i sklepień są pozbawione ornamentów i swą wstrzeźmiłością i zbyt przestępnym umiarem, mają na celu osiągnięcie szczytu wojskowej powagi i grozy. Nie należy zapominać, że natchnieniem tego klasztoru był wielki wojownik i mistyk, znany z rozgwał i dumy, którego imperium było tak wielkie, że słonco nigdy w nim nie zachodziło.

El Escorial składa się z Pałacu Królewskiego, Bazyliki Świętego Wawrzyńca, Panteonu, Wirydarzy, Sal Kapitułarnych, Kolegium i Biblioteki. Wszędzie lśnią marmury, uwagę zatrzymują piękne hiszpańskie i flamandzkie arasy, freski, oprawne w ciężkie, złoczone rami obrazy olejne, filigranowe porcelany oraz zatrzęsienie zegarów. Wśród słynnych artystów malarzy, których Filip II ściągnął do pracy, figurują takie nazwiska, jak: El Greco, Goya, Velazquez, Zurbaran i Ribera; nie brak też plejady zagranicznych sław, których płótna można podziwiać a więc: Tycjan, Veronese, Tintoretto i Rubens. Zwrócić musi uwagę historyczny fakt, że przepiękny obraz El Greca, przedstawiający św. Maurycego i Legion Tebański, nie spotkał się z aprobatą wielkiego monarchy, co przyczyniło się do natychmiastowego prawie opuszczenia Escorialu przez kreteńskiego malarza, twórcę osobliwego stylu, który w pół tysiąca lat później miał znaleźć zrozumienie; został zaliczony do jednego z największych artystów świata, za którego płótna płać się dzisiaj zawrotne sumy.

Do Bazyliki wchodzi się z Patio de los Reyes; nazwano ten dziedzińiec królewskim, gdyż nad wejściem do kościoła znajduje się sześciu królów Judei. Wnętrze świątyni, jak to było do

przewidzenia, nie ustępuje w niczym surowości zewnętrznych części klasztoru. Całkowity brak ornamentacji i cztery masywne filary z granitu, podtrzymujące niezwykle rozmiarów kopułę na wysokości 92 metrów od ziemi, przydają temu wnętrzu więcej ziemskiej potęgi, niż boskiej inspiracji. Atmosfera jest tam wprost lodowata, nie przyjazna wszelkiemu wysiłkowi skupienia; budzi się natomiast w sercu zwiędającego głębokie uznanie dla ludzkiego geniusza. W tym granitowym świecie geometrycznej symetrii, napotyka się na stabe, jakby lekkie odbłaski cieplejszych tonów, jakimi są bardzo piękne freski na sklepieniach trzech naw, które wyszły spod pędla artysty neapolitańskiego. Łukasza Giordani, znanego z przewiska Luca Fa Presto (Łukasz Robi Szybko). Mu siał być z niego bardzo zadowolony monarcha hiszpański, któremu tak niesamowicie spieszyło się, aby jak najprędzej opuścić madrycki alkalaz i zamieszkać w murach kamiennej rezydencji, zapewnionej sarkofagami królów, infantek i księżek.

Panteon Królewski należy chyba do najosobliwszych miejsc w klasztorze św. Wawrzyńca. Cały pokryty jest kolorowymi marmurami, wśród których przeważają czerwone i kararyjskie. Chorobliwe wprost pragnienie Filipa II sprowadzenia królewskich ciał, rozsianych po andaluzyjskich klasztorach i kastylijskich katedrach, pod ten sam dach, gdzie postanowił umrzeć, ma w

sobie coś z kosmaru. Nie czekał na ukończenie robót przy Panteonie, sprwadając zawczasu prochy swoich przedków, które były zmuszone czekać cierpliwie ostatecznej ceremonii w sarkofagach pod gołym niebem. Mówi legendy, że pewnej nocy nadeszła niespodziewanie gwałtowna burza, zerwała baldachy zdobne w pasmanterii, roztraskała katafalki, rozwlekała w nie okiełznanej wściekłości żabne draperie. Owe ponure wydarzenia tłumaczone było przez współczesnych jako złowieszcza przepowiednia habsburskiego przekleństwa.

Prawdziwym wychnieniem jest dla zwiędającego obraz Dziedzińca Czterech Ewangelistów, gdzie znajduje się kaplica w stylu doryckim, a mury i krzewy przelagają się w zwierciadłach zamysłonych sadzawek.

OPUSZCZAJĄC El Escorial miałem uczucie, jak gdybym zostawił za sobą skamieniałą piękność ludzkiego dramatu. Patrząc na Monasterio de Lorenzo, stojący od wieków na straży legendy osamotnionego Filipa II, bijącego z owych granitowych murów, niesposób jest uwolnić się od czaru, w których zamknięty został mit ducha hiszpańskiego.

Henryk Czesław Śliwiński

Pokajanie swawolnego Dyzia

Dokończenie ze str. 1-ej

P. Mieroszewski ma w ogóle niezdrowe skłonności do używania słów, których znaczenie nie rozumie, co przy skłonności do sugerowania się propagandą i słownictwem sowieckim daje przedziwne rezultaty. P. Mieroszewski pisze np.: „Nie ma w nim (w Gomulce — R. W.) śladu heretyka, rewizjonisty czy titoisty”. Publicyści emigracyjni nie powinni posiłkować się słownictwem sowieckim, bo inaczej lada dzień zaczną nazywać rzeczywistość podsowiecką — socjalizmem, a ustrój sowiecki — demokracją. To, że Chruszczow nazywa Tito czy Nagy'ego „rewizjonistą” nie znaczy, by Tito czy Nagy byli rewizjonistami czy heretykami. Modziency z „Po prostu” nie byli rewizjonistami, jak chcą Chruszczow, Gomulka czy Cyrankiewicz, bo nie byli w ogóle komunistami. Komuniizm jest pojęciem zupełnie ścisłym i określonym od A do Z przez Lenina. Rewizjonizm jest również pojęciem ścisłym i w żadnym wypadku nie może go określać inaczej nawet tak znakomita para teoretyków, jak Chruszczow i... Mieroszewski. Chruszczow używa i wypacza te pojęcia dla celów wewnętrzno- taktycznych, a p. Mieroszewski — excuzet le mot — przez nieuctwo.

„Ale czytamy dalej. Gomulka „...trzeba przynajmniej, że wykazuje — jak na Polaka i jak na komunistę — dużą giętkość i zrozumienie dla taktycznego kompromisu”. Masz, babo, placek! Przed chwilą czytaliśmy że „Gomulka jest ortodoksyjnym komunistą”, teraz znów, że jest „Polakiem”. To są pojęcia wzajemnie wykluczające się (bo czy ba p. Mieroszewskiemu, używającemu tego słowa, nie chodziło o podanie rewelacji, że Gomulka jest pochodzenia polskiego).

„Komunista nie ma ojczyzny”. Te kanoniczną zasadę komunizmu należy raz na zawsze zapamiętać, żeby uniknąć ple-ple-ple o komunistach — „agentach” i komunistach — „dobrych Polakach”. A rewelacja co do nie elastyczności komunistów w ogóle jest

Lasso P. Z. P. R. na młodzież

Dokończenie ze str. 1-aj

Z.M.S., sterowany przez P.Z.P.R., za częścią na początku szturmuwał hasłem samodzielności i awangardyzmu. Nawi, którzy dali się na nie nabrać, zostali wyrzuceni z Z.M.S. w czasie „czystki” zimą br. i napiętnowani publicznie, jak Ogorzałek i jego grupa z Krakowa, czy działacze tej organizacji na Śląsku.

Umocnieni w Z.M.W. i Z.H.P. siły partii spowodowały uniesienie się tych organizacji starych działaczy (np. A. Kamińskiego i innych), przyczynili się do usunięcia szeregu niewygodnych im ludzi i konsekwentnie pod porządkową wspomnianie organizacje nakazom partii.

Wszystkie te posunięcia, niekiedy załatwiane bez rozgłosu lub pod płaszczykiem sofistycznych bzdur marksistowskich — nie uszły uwagi opinii publicznej. Szeregi wszystkich tych organizacji zaczęły tonieć. I jeśli nie notuje się w tej chwili masowego odpływu młodzieży z Z.H.P. i Z.M.W., to dlatego, że na terenie tych organizacji trwa jeszcze walka o utrzymanie zdobyczy, jakie osiągnęły one w okresie październikowym.

Oczywiście rozgryki te odbywały się jedynie na niższych szczeblach. Monopol bowiem na władzę w kierownictwach tych organizacji zapewnił sobie szulczy partyjni typu druhnytowarzystki Zakrzewskiej z Z.H.P.

Na tym końcu dziesiątego korespondencje. Dalszy ciąg — w następnym liście.

Leszek Wiliński

Humanista wśród ludzi

Dokończenie ze str. 1-szej

Stanisławem Estreicherem, wspaniałym człowiekiem i wspaniałym uczonym, zamordowanym przez hitlerowców. Niektóre rozdziały wydobycywały na jaw szczegóły sensacyjne, jak ten, że profesor Antoni Wilk, znakomity astronom, odkrywa kometę nazwaną jego nazwiskiem — również ofiarą hitleryzmu — był synem chłopskim, urodził się w rodzinie wsi Morstina. Jeszcze inne ocalały od zapomnienia postaci takie jak Józef Czajkowski, malarz i architekt, promotor sztuki stosowanej, twórca spółdzielni „Ład”. Książka roi się od szczegółów drobnych, ale ważnych. Widzimy na przykład Osterwę w Pławowicach — rodzinnym, klasycystycznym, zabytkowym dworze Morstinów, dziś im odebrany i barbarzyńsko rzuconym na poniewierkę — jak długo, żmudnie uczę się roli Turlewa w „Rzeczypospolitej poetów”. Nagle znajdujemy się na śladzie, wyjaśniającym wiele w tej organizacji twórczej, tak bogato uodarowanej przez naturę a przecież mającej swoje ograniczenia.

Książka Morstina o innych jest również książką o sobie. W spotkaniach z ludźmi ważni są nie tylko ludzie spotykani, ale i człowiek, który ich spotyka. Morstin nie wysuwa się naprzód, nie sprowadza wszystkich i wszystkiego do siebie. Mówi o sobie jakby mimochodem, nienatrętnie, nieostentacyjnie. Wspomnienia przynoszą wiele cennych wiadomości o jego formacji umysłowej, o jego zainteresowa-

niach, o kuchni niektórych jego utworów scenicznych, o jego drodze twórczej.

Szczególne cenne są informacje o „Museionie”, piśmie, które Morstin wydawał na przedprożu pierwszej wojny światowej. Znacząco ono odwrót od Młodej Polski, jeszcze nim się dopełniła i zamknęła w r. 1918. Łączyła na okładce symboliczne dwa miasta: Kraków i Paryż. Jego celem było „wprowadzenie łacińskiej jasności w mętnięjącą nurt literatury i sztuki, ożywienie jej humanistyczną treścią”.

Podobnie opis prapremiery „Lilij” — pierwszego dramatu Morstina — w teatrze krakowskim w roku 1912 jest frapujący jako osobiste doświadczenie początkującego dramaturgów i jako materiał do historii naszego teatru, a w szczególności jednej w nim postaci, którą się przecenia ze względu na mało istotnych a nie docenia dla racji trudniej uchwytnych choć ważniejszych — mianowicie Ludwika Solkiego. Solski był fenomenem nie dlatego że dożył bez mała setki, ale dlatego że przy niewielkim wykształceniu i skromnej inteligencji był wulkanem energii, że przez dziesiątki lat powodował tektoniczne wstrząsy w teatrze polskim, poruszał go i pobudzał jak żywioł.

„Spotkanie z ludźmi” są znaczące jako materiał do biografii twórcy Morstina, nawiasem mówiąc, biografii bardzo bogatej, złożonej, niełatwej do odtworzenia i jeszcze w ogóle nie rozpoczętej. Może największą wartość tych wspomnień o innych i o sobie stanowi demonstracja stosunku człowieka do człowieka. „Zawsze — pisze Morstin na wstępie — wolałem człowieka od jego książki. A raczej, żeby być zupełnie ścisłym, szukałem sposobności obcowania z autorem książki, która mnie wzruszyła, dała mi nowe przeżycie. Zawsze miałem wrażenie, że wtedy poznam tę tajemniczą całość, na którą się składa człowiek i jego dzieło”. Postawa Morstina wobec ludzi jest prawdziwie i jednocześnie bezstronna. Nic w nich nie jest mu obce, choć są to ludzie rozmaitych języków, wiar artystycznych, rozmaitego pochodzenia społecznego, rozmaitego urobienia intelektualnego.

We wszystkich obchodzi i pociąga Morstina ich odrębność, inność, to czym pomnażają jego wiedzę o człowieku, o duszy ludzkiej, o mocy twórczej. „Nic na świecie — czytamy we wspomnieniu o Berenciu — nie równa się tej rozkoszy, jaką daje obcowanie z człowiekiem, który nad epokami historii, nad szczytami kultury, rozpina swoją myśl, konstruuje syntezę, rozrzuca wspaniałym gestem wiadomości zdobyte wysiłkiem żmudnej pracy, iskrzy fantazją wyroki dzieł, sonduje otchłanie tajemnic otaczających świat, czło-wieka i przyrodo”.

„Ta postawa wywodzi się z dwu źródeł: z antyku i z renesansu, humanizmu polskiego. Morstin zna języki starożytne jak swój własny, tłumaczył przecież „Antygonę”, Wergiliusza i Horacego. Gdy Stanisław Estreicher, przyjaciel Wyspiańskiego, profesor prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, kontynuator monumentalnej bibliografii filii swego ojca, tłumacz „Fausta” i autor studium o „Fantazym” Słowackiego w jednej osobie, był niedługo przed śmiercią w hitlerowskiej kaźni gościem Morstina, trochę dla żartu, więcej z naturalnego popędu rozmawiali po łacinie. Na odjeźdźnym gości wpisał do domowego sztabuchu: „Takeśmy tam używali na rzymskiej mowie”.

Ostatni może w Polsce dwa

Latynowie”.

W czasach barbarzyństwa, nieposzanowania indywidualności człowieka, podsypanej systematycznie nienawiści, zbiór wspomnień Morstina jest czymś szczególnie ożywym, uszlachetniającym; ukazuje w nim humanistę wśród ludzi lub — prościej mówiąc — człowieka kultury zachodniej wśród ludzi należących do tej samej kultury.

Trzeba wierzyć, że Ludwik Hieronim Morstin nie będzie „ostatnim Latynem” w Polsce, ostatnim humanistą, ostatnim Europejszczakiem. I trzeba pragnąć, aby nie był. I trzeba o to walczyć.

Ryszard Wraga

Tymon Terlecki

LUDWIK HIERONIM MORSTIN

URODZIŁ się w r. 1886 w Pławowicach. Po ukończeniu gimnazjum w Krakowie odbył studia uniwersyteckie w Monachium, Lipsku i Berlinie. Od r. 1911 - 1914 wydawał miesięcznik „Museion”, który odegrał ważną rolę w orientacji literatury polskiej w ostatnich latach przed pierwszą wojną światową i w okresie drugiej niepodległości.

Pierwszy tom wierszy „Pieśni”, wydał w r. 1907, pierwszą sztukę „Lilij” wystawił na scenie krakowskiej w r. 1912. Bibliografia Morstina obejmuje kilkadziesiąt pozycji, spośród których ponad ćwierć etki przypada na twórczość dramatyczną. Z utworów scenicznych najwazniejsze są: „Szlakiem Legionów”, „Legenda o królu”, „W ciemnym dworze”, „Dzika pszczoła”, „Rzeczypospolita poetów”, „Obrona Ksantypy”, „Fenelopa”, „Kleopatra”, „Polacy nie gęsi”, „Przygoda florencka” (grana niedawno w Krakowie i na emigracji). Oprócz sztuk napisał Morstin powieść o Koperni-

ku „Ktos panny”, którą sam przeobraził na wielkie widowisko, wielokrotnie grane przed wojną w Krakowie i w Warszawie, wydał tom szkiców „W kraju Latynów”, tłumaczył Sofoklesa z greckiego, Wergiliusza i Horacjusza z łaciny, wielkich dramaturgów hiszpańskich Calderona i Lope de Vegę, wreszcie „Torquata Tassa” Goethego. Ostatnią jego książką są „Spotkania z ludźmi”.

W drugiej połowie maja i pierwszej połowie czerwca b. r. Morstin bał w Londynie. Ten pobyt zamienił się w jedną wielką manifestację na cześć znakomitego pisarza. Teatr Polski dał specjalne przedstawienie „Przygody florenckiej”. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie podejmował Morstina uroczystym obiadem i urządził wieczór autorski, na którym odczytano niedrukowaną i niegrana jego sztukę „Pokonana buntownica”. Po odwiezieniach Londynu, Morstin krótko bał w Paryżu i wrócił do Krakowa na premierę jednego ze swoich utworów dramatycznych.

I.

JÓZEF RELIDZYŃSKI

CZERWONA NOC

Kartka z niedawnej przeszłości

POPOŁUDNIE niedzielne w czerwonej Moskwie gromadziło stale na ulicy Twerskiej, która tu i ówdzie, na tle zniszczenia, zapuszczenia i zszarzenia reszty miasta pod rządami bolszewickimi, przypominała jeszcze chwile dawnej świetności stołecznej i biogostanu kupieckiego — tłum spacerowiczów.

Nie można było nazwać go barwnym, jako że dominującą barwą w państwie czerwonych carów był podób czas kolor szary. Szare szyniele soidackie, szare worki zamiast ubrania i szare łapcie zamiast obuwia, szare twarze, szare ulice i szare domy, szare powietrze i nastrój szary, ciągle szła szła szła... wszystko szare, szare, szare...

Prawda, od pewnego czasu — w okresie krótkotrwałego NEP-u (1) — o kąd Krenim volens nolens musiał pójść na kompromis wobec „zgniłej” Europy, musiał także patrzeć przez palce na różnego rodzaju „przeżytki burżuazyjne”. Pozwolono więc na otwarcie sklepów, cukierni i restauracji, gdzie szczęśliwie, który miał do rozporządzenia walizę rubli sowieckich, mógł otrzymać to wszystko, o czym do niedawna jeszcze mógł zaledwie marzyć; ba, zapowiedziano nawet sezon wycieczkowy z czerwonym totalizatorem!

W powietrzu zapachniała wiosną i Europa.

Na głowach dam pojawiły się dawno niewidziane kapelusze z barwnymi pierściami i kwiatami, na szyjach mężczyzn kołnierzyki i krawaty, których noszenie przedtem było surowo wzbronione i karane, jako wysoce niebezpieczne dla ustroju sowieckiego. Pojawili się, wydobyte gdzieś z dna kufrow, początkowo nieśmiało, później coraz śmiałej, stroje modne wprawdzie coś Anno Domini 1914, ale bądź co bądź stroje, które, jak wiadomo, dodatnio wpływają na nastrój...

Więc i nastrój owej „dziwnie osobliwej” wiosny bolszewickiej 1922 r. był w czerwonej stolicy pogodniejszy niż wiosen poprzednich. Z ciepłymi podmuchami wiatru wiosennego miewał się zapach naftaliny, bijący w nozdrza od szczęśliwie przechowywanych na strychach i w siennikach sukien i futer — słowem, w Moskwie wyglądało zgoła sielankowo.

Wprawdzie wiadomości nadchodzące z prowincji — głód nekający całe gubernie, kłeska szarańczy, cholery i ludożerstwa — a choćby, nie szukając tak daleko, to, co działo się w samej stolicy, tuż pod okiem Kremla — z dnia na dzień rosnąca epidemia samobjóstwa i obłędu, rozpusty i zbrodni — wszystko to nie było zgoła sielankowe. Ostatecznie jednak śmiertelnie znużone, tropione zwierzę, jakim od przewrotu bolszewickiego stał się „obywatel” rosyjski, rade było i wzięcie swym panom li za to tylko, że mogło się jako tako ubrać, wylec na ulice, zalane błotem i słońcem, spokojnie pospacerować, narozkoszować się pierwszym ciepłem, pogapić się na zapomniane już wystawy sklepowe i życie restauracyjne...

Wiosenne popołudnie niedzielne na Twerskiej i dzisiaj więc rojne było i gwarne. Tu i tam rozlegał się dźwięczny śmiech, dawno nie słyszany w milczącej, ponurej gąszi ulic moskiewskich, którą dotychczas rozdierały je dymy strażni i jęki; z rzadka przemknął nawet, jakby gość z innego, lepszego świata, autentyczny „izwoszczyk” (2) przedwojenny, mignął łeb rysaka i w małym powoziku obejmującego się zwyczajem rosyjskim para.

Oczywiście, gros światłocznego tłumy stanowili „krasnoarmiejcy” ze swymi szczęśliwymi wybrankami, hałaśliwi i buńczuczni. Ustępowano im przezornie z drogi, a oni z szerokim gestem zatrzymywali się przy wystawach sklepowych, aby się nimi „polubować”, lub — straganach ulicznych, dla kupienia sobie papierosów, bądź też „zafundowania” swym towarzyszkom pierzków. Zza straganów martwo wlepiły się w nich przysłanymi oczyma twarze i postacie byłych kobiet, których nędzne łachmany nierządno pokrywały białe i pełne niegdyś ramiona frejlin dworkich, co najbardziej świetnych i światowych dam.

Poza tym w tłumie roilo się od krzyca ubranych i wymalowanych cór Wenery, kokietujących głównie krasnoarmiejców i marynarzy. Nie brakło jednak i solidniejszych spacerowiczów poci obojga i różnego wieku. Oczywiście, przeważała młodzież, dla niej to bowiem przede wszystkim świeciło to słońce wiosenne i wołało ją hen za miasto, gdzie siały lasy i w biały płach topniejącego śniegu czerniały pola.

Niestety, wycieczki podmiejskie równały się nie tylko pozęgnaniu się z miastem, ale często i... z życiem, stonki bowiem na przedmieściach moskiewskich mogły iść o lepsze z bezpieczeństwa dzikich preryj amerykańskich. Były więc niedostępne; chyba dla ostatecznych ryzykantów, których zresztą nie brakło i nie mogło braknąć w państwie, gdzie człowiek, wychodząc rano z domu, nigdy nie był pewny czy wieczorem doń wróci.

Na tle, jeżeli nie przedpotopowych, to w każdym razie przedwojennych kościółkach damskich i ubrań męskich błysnął czasem angielskim frenczem, bądź garniturem z Wiednia towarzyszy — komisarz, trzymający pod ramię towarzyszkę, która skrzyła się wielkimi butonami w uszach i zadawała szyku tulaletę wprost z Warszawy oraz sobolami wprost... z ramion wielkiej księżnej. Para taka zwracała ogólną uwagę. Spoglądano na nią spode łąb, ale i z podziwem, nierządno — z zazdrością. Nie trzeba dodawać, że „gentleman” należał do Narkomu (3), „lady” zaś reprezentowała, używając oficjalnego stylu bolszewickiego, Sodnar-kom (4).

Ze jednak wszystko na świecie się kończy, więc i rozkoszne popołudnie na Twerskiej, żegnane niejednym tęsknym westchnieniem, miało.

Słońce gasło, grając na kopułach i kopułkach setek cerkwi, które zdawały się płońać. Zajrzało jeszcze krwawo do okien, niby oko bezsennie czuwającej Czerwycyzki, tu i ówdzie oblało mur, by krew rozstrzelanego, i zgąsło, pograżając miasto w szarym półmroku. Powiał mroźny wiatr, diawiac nieśmiało tchnienie pierwszego dnia wiosennego. Kałużę brudnego, topniejącego śniegu na dachach i ulicach znów zakrzępiły i lśniły się niby potworne, szkliste ślepia, czyhające zewsząd.

Ludzie poczęli rozchodzić się do domów, jako że przebywanie wieczorem na ulicach Moskwy mimo czerwonych „reform” nie było jeszcze ani bezpieczne, ani też przyjemne.

JEDYNE dwaj młodzi mężczyźni, przechodzący właśnie Twerską, nie spieszyli się zbytnio z powrotem do domu. Szli wolno, pewnym krokiem, obojętnie mijając „gulających” (5) czerwonoogwardzistów i szczerząc do nich zęby dziewczęta uliczne. Wracali z dobrego obiadu, który spożyli w świeżo otwartej, modnej restauracji, odczuli trochę, ale i lżejsi o kilka funtów rubli sowieckich, co się wzajemnie równażyło i wprawiało ich w doskonały humor.

Obaj byli Polakami. Młodszy z nich, pulchny i różowy, ubrany z wyszukaną elegancją, nazywał się Toniecki i był kurierem dyplomatycznym polskie go Min. Spr. Zagr. Przyjechał przed kilkoma dniami z Warszawy, załatwił sprawy urzędowe i nazajutrz miał wracać do kraju.

Nazwisko starszego było Marski. Je go niemodna, z widocznym mozołem, lubo starannie skompletowana garderoba z „lepszych czasów”, a nade wszystko — zapadnięta twarz, o cerze ziemistej i niezdrowej, ostro i zmęczony wyraz oczu, które niejedno widziały i nieraz musiały w twarz patrzeć śmierci — wskazywały na to, że przeszedł on rozkosze „raju bolszewickiego”.

Istotnie, Marski był inżynierem, dyrektorem wielkiej fabryki polskiej na południu Rosji. Przewrót bolszewicki zastał go na stanowisku. Fabrykę rychno „znacjonalizowano”, a pan dyrektor, wleczone po różnych czwarczajkach prowincjonalnych, znalazł się wreszcie w stołecznych „Butyrkach” (6). Tam, w okropnych, urągających wszelkim pojęciom europejskim, warunkach higienicznych i moralnych, przesiedział kilkanaście miesięcy. Ostatecznie, na skutek długi staran Poselstwa polskiego wypuszczono go na wolność i pozwolono wrócić do kraju. Jutro właśnie, razem z Tonieckim, miał jechać do niewidzianej od tylu lat Warszawy, która marzyła mu się w snach i na jawie. W kieszeni miał już wszystkie potrzebne papiery, nie wyciągając biletu kolejowego, nic tedy dziwnego, że szedł lekko, jakby miał skrzydła u ramion i jakby te kilka ostatnich lat było tylko zmorą senną.

Marski znał Tonieckiego z Warszawy przed wojną światową, kiedy to obecny dyplomata zasiadał jeszcze na ławie uniwersyteckiej. Początkowo chłopak przywiózł mu listy oraz większą sumę pieniędzy od rodziny, odsukał go w Moskwie i wystarał się dlań o miejsce w przedziale dyplomatycznym. Naturalnie przez cały dzień dzisiejszy, który spędził razem, Marski zaspowiadał przyjaciela pytaniami o Polskę, o bitwę pod Warszawą, o traktat ryski, o Pilsudskiego i Hallera, o wojsko polskie i tysiąc różnych rzeczy zaś pocziwy a niestrudzony Toniecki udzielał mu szczegółowych informacji.

Obecnie, jako że byli młodzi, po dobrym obiedzie i była wiosna, rozmawiali o kobietach. Toniecki był nie od tego, aby na pożegnanie przeżyć jaką awanturkę i posmakować bolszewickiej miłości, Marski jednak, stateczniejszy a przede wszystkim znający dobrze Moskwę, powstrzymywał go od zaspokojenia niebezpiecznego apetytu. Zdecydowali się tedy na pójście do domu i położenie się wcześniej spać, jutro bowiem z samego rana wyjeżdżali.

Tak gawędząc, śmiejąc się i żartując, doszli do domu, w którym Toniecki miał kwatery. Zatrzymali się przed bramą i kończyli miłą gawędę:

— Zatem do widzenia, do jutra! — mówił Toniecki. — Wypij się dobrze, czeka nas bowiem piekielna droga.

— Wątpię, czy zasnę — odpowiedział Marski — radość mnie po prostu roznosi.

— A nie zaważę po drodze, gdzie nie trzeba! — zaśmiał się Toniecki.

— Bądź o mnie spokojny! Uwważaj raczej na siebie i zamknij dobrze okno, aby nie wleciała w nie przypadkiem jaka syrena...

— Słyszałem, że syreny pływają, o tym jednak żeby latały, dowiaduję się od ciebie pierwszego.

— Bo jesteś przyzwyczajony do syren warszawskich. W Moskwie syreny latają... na niotłach... ha! ha! ha!

— Ha! ha! ha!

Toniecki klasnął dłońmi w czoło, nagle coś sobie przypomniał.

— Ależ tuman że mnie! — zawołał. — Byłbym na śmierć zapomnieli oddać ci swoje pieniądze. Piastowałem je dotychczas, jak chciałeś, teraz jed-

nak czas najwyższy zwrócić je prawowitemu właścicielowi.

— Zatrzymaj je może do jutra. — Lepiej nie... Mogłyby mnie jeszcze skusić do przestudiowania nocnego życia Moskwy!

— Jeżeli tak, to je weźmę.

— A widzisz... „Strzeżonego Pan Bóg strzeże!” — Toniecki wyjął z kieszeni pokazną paczkę tysiączkówek i wręczył ją Marskiemu.

— Dobranoc! Zatem o ósmej na dworcę?

— Tak jest. Dobranoc.

Ucisnęli sobie ręce. Toniecki skierował się ku ciemnym schodom.

MARSKI wyszedł z bramy.

Wychodząc, posłyszał za sobą ciepły, altowy głos kobiety, który rzeki nieśmiało, po rosyjsku:

— Izwinicie! (7).

Obejrzał się i przystanął.

W bramie stała młodzianka dziewczyna, ubrana, jak chodzący za dobrzych czasów „instytutki”, w brązowy mundurzek pensjonarski, biały fartuszek i warty żakiet; na głowie miała skromny kapelusi. Mogła mieć lat szesnastę. Była prześlizgnięta.

Marski w pierwszej chwili sądził, że ma do czynienia z prostytutką. Machnął niecierpliwie ręką, niby odpędzając muchę naprzykrzoną, i chciał już odejść, kiedy błysnęły mu cudowne, wilgotne oczy dziewczyny, w których wyczytał coś, jakby lek i niepokój. Po za tym wyglądał jej i zachowanie zdradzało coś lepszego.

— Czym mogę pani służyć? — grzeć nie zapytał po rosyjsku.

— Przepraszam za moją śmiałość — wyjąkała, czerwieniąc się, dziewczyna — może się to panu wyda dziwne...

byłam w tym domu u starszki - cioci, która mnie tak przetrzymała... mrok zapadł... mieszkam daleko... na Gruzynach (8)... boję się sama wracać... Czyby panu mnie nie odprowadzić? — wyrzuciła jednych tchem, z czarującym zażenowaniem.

Marskiego propozycja dziewczyny bynajmniej nie zdziwiła. Wobec niepewności ulic moskiewskich wczesnym było zwyczajną rzeczą w czerwonej stolicy, że dziewczęta i młode kobiety, wracające do domu o spóźnionej porze, zwracały się do lepiej ubranych i zaufanie budujących nieznanymi panów z prośbą o odprowadzenie. Należało to do rycerskiego obowiązku, w tym, tak dalekim zresztą od wszelkiej rycerskości mieście.

Perspektywa spaceru na odległe Gruzynie nie bardzo się Marskiemu uśmiechała; czuł się znużony, miał się jeszcze pakować. Nie darmo jednak był Polakiem, dziewczyna była tak ładna i tak rzewnie a biagalnie spoglądała na niego sarnimi oczyma! Mrok zapadł, mogło się jej rzeczywiście co przytrafić... Zmięki więc ostatecznie, przychylił się do jej prośby, przedstawił się i podał jej rycersko ramię, które dziewczyna po krótkim a ślicznym wahanu przyjęła.

Ruszyli.

Dziewczyna była z początku milcząca i jakby załopotana. Szła z główką zwieszoną, przy czym długie, ciemne rzęsy ocieniały jej bladą twarzyczkę z przemiłym doświadczeniem, który przy uśmiechu pogłębiał się i był jakby specjalnie stworzony dla całowania. Ostatecznie jednak pod wpływem humoru i galanterii Marskiego, który w miarę odkrywania coraz to nowych uroków Rosjanczki coraz bardziej się ożywił — i jej się język rozwiązał.

Marski dowiedział się w trakcie rozmowy, że towarzyszką jego istotnie była kiedyś instytutka, obecnie bynajmniej nie jest „towarzyszka”, nie uznaje komunizmu, nienawidzi komunistów i uczy się w domu, byle by tylko nie uczęszczać na pensję sowiecką. Matka jej umarła, jeszcze za „dobrych”, carskich czasów; ona — Olga Mikołajówna mieszka z ojcem, Mikołajem Władymirowiczem Pustiakowym, który dawniej był zamożnym kupcem. Obecnie jednak „za tych psów poganiłskich, bolszewików” cierpi niedostatek i żyją ze sprzedaży resztek dawniej fortuny. Ona marzy tylko, aby się wyrwać z tej przekletej Moskwy...

— Pojeździe, Olga Mikołajówno, ze mną do Warszawy! — zaproponował jej żartem Marski.

— Myślicie, że bym nie pojechała, Stanisławie Piotrowicz?... o jej, jeszcze jak!... cóż, kiedy żal starego ojca... — odpowiedziała z prostotą, wiasciwą Rosjankom, która może być za równo wyrażaniem, jak i nieświadomością.

Rozbłysły gwiazdy. Od pół zalały wiatr wiosny. Wiatr chłodny ale pachnący igrał włosami dziewczyny, których ciemne kędziory co chwila muskały skroni Marskiego.

Spojrzał przecięgle w jej oczy... wstrząsnął nim dreszcz... przyciągnął ją ramieniem... trochę jej opierała... poczuł, że i ona drży...

I nagle rozpalone usta Marskiego, które dawno, tak dawno już nie całowały żadnej kobiety, spadły jak ten wiatr wiosenny na świeżutkie usta dziewczyny, na których, zdawało się, spoczywa jeszcze puszek jak na młodszych owocach. Resztek drogi przebyli w jakimś czarownym durze, upojeni sobą i wiosną.

Marski miał wrażenie, że oto spada z duszy jego twarz niewoli bolszewickiej: że oto nagle się odmładza, za-

kwita, niby drzewo na wiosnę — w za pachnu ziemi i młodziutkich piersi dziewczyny zdawało mu się, że jakiś dobry Bóg wlewa w biedne, zmartwiałe serce jego wiosenną oskoleł radości życia i młodego szczęścia.

ZATRZYMALI się wreszcie przed małym, murowanym domkiem parterowym, stojącym samotnie na uboczu.

— Tu mieszkam — przemówiła dziewczyna głosem zdyszczym od jego pocałunków.

Marski westchnął.

— Ot i skończy się... — głos mu się załamał. — Zegnajcie Olga Mikołajówno!

— Nie, nie... jeszcze nie... Stanisławie Piotrowicz! — prosiła dziewczyna. — Znajdźmy was z ojcem, musi wam przecież podziękować... Nie po załujecie tego... — tchnęła mu żarem w ucho, ścisnąc go mocno za rękę.

Marskiemu krew uderzyła w skronie obuchem. Bez słowa, jak pijany, wszedł za dziewczyną do ciemnej sieni. Po chwili znalazł się w miłym, jasnym pokoju, który, jak się zdaje, był jednocześnie salonikiem i jadalnią. Umieblowanie jego było skromne, ale wiało w nim schludnością i miłą starannością dłoni kobiecej. Garnitur starych pluszowych mebli, stolik mahoniowy, nakryty wódczkową serwetą, staroswiecki zegar złożony pod szklanym kloszem, duży album z fotografiami rodzinnymi, które zdobiły ponadto ściany, kredensik, w którego oszklonej wnęce bielilo się trochę starzej porcelany, okrągły stół jadalny z bukietem makartowskim, skąpany w ciepłych blaskach wiszącej lampy naktowej, wielka ikona w rogu, przed którą drgającym rubinem płonęło wieszczę światełko — cała ta atmosfera cieplej rodzinnego, niby uściskiem matczynym, biogo objęła Marskiego, rozmarzając go, kołysząc, wyczarowując dalekie wspomnienia.

Rozgościł się, Stanisławie Piotrowiczu, ja tymczasem poproszę papę i przygotuję herbatę — uśmiechnęła się do niego na progu, figlarnie przesiała mu ręką całusa i zniknęła. Popatrzał za nią z przymglonym, do brym dziekczynnym uśmiechem i z rozkoszą zapadł się w głębokim fotelu. Przymknął oczy i oto ujrzał się nagle małym chłopcem na kolanach dziadka, wgłębnego w podobny fotel.

...Na dworze zamieć tłucze w okien... w staroswieckim pokoju, osnutym wczesnego wieczoru mrokiem, na kominku wesoło trzaskają polana brzo zowe i strzelają roje iskier krwawozłocistych... przy ogniu wygrzewa się i mruczy coś stary wyżej, lypiąc zacierwionymi, pocziwymi ślepiami... chłopczyna ma oczy przymknięte, nie śpi jednak, wsłuchany w opowieść, sypaną się z ust dziada, niby ziarna bonaterskiego posiewu przeszłości...

BUDZIŁ go odgłos ciężkich kroków.

Do pokoju wszedł stary mężczyzna, rosły i barczysty, ubrany z kupiecką, w kaftanie i szarawarach, wpuszczonych w cholewy butów. Twarz miał okrągłą i rumianą, okoloną długimi, równo przyciętymi, mlecznymi włosami i siwą, dostojną brodą. Spod krzaczastych brwi patrzyły oczy, jasne i wesołe. Z miłym uśmiechem, szerokim gestem pozdrowił Marskiego:

— Witajcie, Stanisławie Piotrowiczu, rad jestem bardzo was poznać! Dziękuję wam od czystego serca, że raczyliście odprowadzić moją Oleczkę. Niepoprawna dziewczyna! Zapowiadam jej zawsze, aby mi przed zmrokiem była w domu. Ale cóż robić?... złote serce u niej! Ma ciotkę — staruszkę, siostrę nieboszczki mej żony, wieczny jej pokój! — stary trzykrotnie przeżegnał się pobożnie przed ikoną — biedaczka sparaliżowana! Olga to jej proń jedyń w życiu... Wie o tym i zamiasz latać po spacerach z młodymi ludźmi, jak jej rówieśnice, wszystkie wolne chwile spędza u starszki... Ale siadajcie, Stanisławie Piotrowiczu — usadowił Marskiego, który powstał na jego powitanie, na kanapie i zasiadł obok niego — opowiedzcie coś o waszych przejściach... pocieszcie duszę starca, który stoi nad grobem, a chciałby jeszcze, nim zamknie oczy, ujrzeć na chwilę choć nieszczęsną Rosję uwolnioną od krwawej tyranii Żydów i komunistów... Och, Stanisławie Piotrowicz! Kiedyż słońeczko zabył się wreszcie biednej matuszce — Rosji? Kiedyż tę krasną swolocz czorci wezmą?...

Rozmowa płynęła gładko i miło. Pustiakow okazał się sympatycznym typem Rosjanina starej daty, człowiekiem nadszpejdziwanym inteligentnym i liberalnym, z którym można było przy jemnie o wszystkim porozmawiać.

Olga Mikołajówna krzątała się tymczasem koło wierzery. Nakryła stół czystym obrusem, zносиła talerze i kieliszki, noże i widelce. Znalazła się wódka i zakąski, wkrótce zasumiał na stole samowar. Dziewczyna nie spuszczała przy tym z Marskiego wilgotnych, sarnich oczu — bez żakietki i kapelusza bardziej pończeta i smu kłęjsza jeszcze — i uśmiechała się raz tylko w życiu — gdy ma lat szesnastę i ogarnia ją pierwsze uczucie...

I znów przed oczyma Marskiego przesunął się strzęp filmu życiowego. —

...Skromny pokój jadalny w dalekim pamiętym mieszkanku warszawskim... tak samo pali się naftowa wisząca lampa... podobne sprzęty... w fotelu dobra staruszka... na głowie ma czepek koronkowy, na wyblakłych bławatach oczu — okulary; dubie jakąś szydełkową robotę... opodał siedzi on w mundurze świeżo upieczonego studenta politechniki i czyta staruszcę konspiracyjną gazetkę... a przy stole, czysto nakrytym, tak samo krząta się śliczna dziewczyna lat szesnastu, tylko o niebieskich oczach i złocistym warkoczu, również w mundurze pensjonarki i białym fartuszkem... tak samo spogląda i uśmiecha się do niego... Jadzka... narzeczona... cienie zagrobenie...

— Co to wam, Stanisławie Piotrowiczu? — zaniepokoiła się Olga Mikołajówna, zauważywszy bolesny skurcz na jego twarzy, i podesza do Marskiego, troskliwie się nad nim pochylając.

— Nic, Olgo Mikołajówno! Ot po prostu przypomniał mi kogoś, co już nie żyje...

— A co pewnie był wam drogi... — dokończył kupiec.

Marski w milczeniu skłonił głowę. — Wołałabym wam nikogo nie przypominać, Stanisławie Piotrowiczu! — odezwała się dziewczyna pójgosem, przy czym twarz jej spochmurnała — wołałabym — szeptała, kładąc mu rękę miękko na oczach, podczas gdy kupiec wstał, podszedł do stołu i odwrócony do nich tyłem, wolno i starannie nalewał wódkę do kieliszków — wołałabym, aby inne kobiety mnie wam przypominały...

Wionął mu w nozdrza zapach jej młodego ciała; przypomniał mu się kształt małych piersi dziewczyny, smak jej pocałunków. Cienie zagrobne rozproszyły się, zatrułofowało życie. Delikatnie pociągnął ku sobie dziewczynę... niby dotknięcie skrzydełek motyla, poczuł na ustach sztybek, prze lotne muśnięcie jej warg... zajaśniał mu jej uśmiech... i znów krzątała się przy stole...

Szumiały samowar — obraz święty — stół nakryty białym obrusem — młoda, śliczna, zakochana w nim dziewczyna — poważny a serdeczny starzec; to wszystko, co spadało nań tak nieoczekiwanie, a czego Marski dawno, tak dawno już nie widział, rozmarzało go i wprost upajało. Doznawał uczucia jak człowiek strudzony i przemarznięty, kiedy wejdzie nagle do ciepłego, jasnego pokoju i kiedy wsty skto w nim jak gdyby taje, niczym lodu sopeł na słońcu.

Siedli do stołu. Dziewczyna przy nim, to podsuwając mu zakąski, to wódki dolewając, to chleb m smarując masłem, to czestując go szklanką herbaty. Śmiała się przy tym i szczeniła, niczym o świecie tyk na gałęzi. Kupiec siedział naprzeciw nich. Zwyczajem rosyjskim, trzymając kawalek cukru w zębach, popijał herbatę ze spodka i przglądał się młodym z miłym uśmiechem i jakby rozrzwaniem.

Rubinowe światełko przed ikoną pełgało.

Szumiał samowar.

OD strony podwórza rozległo się nagłe trzykrotne pukanie w okno. Kupiec zmieształ się. Wybiegł z pokoju. Dziewczyna pobałdała. Wzdrygnęła się. Jej spłoszone oczy zatrępotowały rżęsam, uciekły od pytającego, niespokojnego wzroku Marskiego i wbiły się w ziemię. Na pokój, niby chmura otowiana, opadło ciężkie milczenie.

Chwila dławiącego dech oczekiwanania. I nagle wesoły głos kupca za progiem:

— A to nas przestraszył, szelma!... — Pustiakow wszedł swobodnie do pokoju i zwrócił się z uśmiechem do Marskiego — to Jakowlew, Ila Iwanowicz, sąsiad — staruszek. Nie chciał wchodzić do pokoju, wiedząc że mamy gościa, a tu zabrakło mi zapalek i nie mógł zakurzyć ostatniego papieroska przed snem. Ha! ha! ha! A ja myślałem już, że to te psy — czekisty (9).

— I ja tak myślałam — przemówiła Olga Mikołajówna głosem, którego aksamit jakby wypowiadał. Powiedziała to w stronę Marskiego, jak gdyby tłumaczyła się przed nim ze swego zaniepokojenia, po czym twarz jej, jakby kieszyc przedzierający się przez chmurę, rozświetlił znowa dawny uśmiech i oczy jej figlarnie rozbłysły. Głos dziewczyny znów nabrał aksamitnego polysku.

Nieprzyjemny nastrój rychno przysnął. Dziewczyna ścisnęła nieznacznie rękę Marskiego i zdawała się upijać miłością; była czarująca. Oboje przeniakił prąd elektryczny krwi młodej pragnienia, wyładowujący się w nogach, które wzajem szukały się pod stołem. Kupiec z dobroliwym uśmiechem przglądał się młodym i popijał ze spodka herbatę.

Rubinowe światełko przed ikoną pełgało.

Szumiał samowar.

Chwile miały nieopozreżenie, niczym monotonny plusk fal morskich...

Józef Relidzyński

(Dokończenie nastąpi)

(1) NEP: nowąją ekonomiczskaja polityka — hasło gospodarze w sow. Rosji Lenina.

(2) Dorozkacz.

(3) Narodnyj Komisariat (Komisariat ludowy).

(4) Soderzanki narodnych komisariet (Utrzymanki komisarów ludowych).

(5) Spacerujacych.

(6) Wizerowanie w Moskwie.

(7) Przepraszam.

(8) Przedmieście moskiewskie.

(9) Członkowie „Czerwycyzki”.

LISTY DO REDAKCJI

SPROSTOWANIE ZWIĄZKU SOKOŁÓW POLSKICH WE FRANCJI

Do
Redakcji Tygodnika
„SYRENA”
w Paryżu
20, rue Legendre

Na mocy ustawy prasowej prosimy o ogłoszenie w najbliższym numerze „Syreny” następującego sprostowania:

„W numerze 22 „Syreny” na 31-go maja 1958 r. ukazał się list p. Zygmunta Dygata, datowany z dnia 15-go maja 1958 r., w którym podano listę instytucji korzystających z funduszu Skarbu Narodowego we Francji, przy czym nie podano nawet daty, kiedy owe instytucje korzystały z funduszu Skarbu Narodowego. Pod Nr 5 podano jakoby Tow. „Sokół” otrzymało 100.000 fr. — bez podania daty i bez podania jakiej Tow. „Sokół” i z której miejscowości otrzymało 100.000 fr.

Ponieważ z tak niekompletnego sprawozdania niektórzy wniosli jakoby Związek Sokółów Polskich we Francji otrzymał owe 100.000 fr., przeto zgodnie z prawdą i z księgami kasowymi Związku Sokółów Polskich we Francji stwierdzamy, że nigdy Związek Sokółów Polskich we Francji takiej sumy ze Skarbu Narodowego nie otrzymał.

W księgach kasowych Związku Sokółów Polskich we Francji nie ma ani jednego franka od Skarbu Narodowego. Natomiast istnieje rozliczenie podpisane przez p. Jana Roskosza na 50.000 fr., które tenże miał podjąć w roku 1953, kiedy był prezesem Zw. Sokółów. Gdy p. Roskosz przestał być prezesem Zw. Sokółów w jesieni 1953 r., twierdził na zebraniach Przewodniczący, że „Sokół” powinien otrzymać ze Skarbu Narodowego dalsze przeliczone 50.000 fr. Odpowiedziano mu kilkakrotnie, że nowy Zarząd absolutnie tej sumy nie podejmie i nie będzie się zwracał do Skarbu Narodowego i że byłoby rzeczą p. Roskosza, aby zatwierdził sprawy, których się podjął, kiedy był prezesem Związku.

Od tego czasu minęło 5 lat, nastąpiła całkowita zmiana zarządu Związku Sokółów i ani jeden frank ani od p. Roskosza ani od Skarbu Narodowego do kasy Związku Sokółów Polskich we Francji nie wpłynął.

Zarząd Związku
Sokółów Polskich we Francji
M. KWATKOWSKI
Prezes
T. SZYBOWICZ
Sekretarz Gen.
A. MIŁOSZYK
Skarbnik

Lens, 25.6.58.

STWIERDZENIE SKARBU NARODOWEGO WE FRANCJI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze! Z upoważnienia Zarządu Skarbu Narodowego we Francji dziękuję Panu Redaktorowi za przesłanie do wglądu pisma Związku Sokółów Polskich we Francji z dnia 25 czerwca r. Pismo to stwierdza kategorycznie, że Związek Sokółów Polskich we Francji nigdy nie otrzymał od Skarbu Narodowego kwoty 100.000 fr., o czym wspomina w swoim liście Prezes Skarbu Narodowego we Francji p. profesor Zygmunt Dygat. List Prezesa Z. Dygata był opublikowany przez WPanów w numerze 22 „Syreny” z dnia 31.5.58.

Jako Skarbnik Zarządu Skarbu Narodowego we Francji stwierdzam co następuje:

1. W dniu 17 marca 1952 Skarb Narodowy we Francji wypłacił Związkowi Sokółów Polskich we Francji dotację w wysokości 20.000 fr. Odbiór tej kwoty potwierdził pismem z dnia 18 marca 1952 Sekretarz Przewodniczący Związku pana Stanisław Ostojak.
2. W dniu 30 czerwca 1952 Skarb Narodowy we Francji wypłacił Związkowi Sokółów Polskich we Francji dalszą dotację w wysokości 30.000 fr. Odbiór tej kwoty Związek potwierdził pismem z dnia 4 lipca 1952.
3. W dniu 15 lipca 1952 Związek Sokółów Polskich we Francji wyśtosował do Skarbu Narodowego we Francji pismo zapraszające do wzięcia udziału w 12 Zlocie Związku Sokółów — pisząc między innymi:

„Dziękując serdecznie w imieniu Organizacji za ofiarowaną przez Polski Skarb Narodowy we Francji Związkowi Sokółów Polskich we Francji pomoc w sumie 50.000 franków...”

i proponując równocześnie ufundowanie przez Skarb Narodowy nagrody wędrowniej. Pismo to zostało podpisane przez Prezesa pana Franciszka Grzonę i Sekretarza pana Stanisława Ostojaka. Skarb Narodowy ufundował nagrodę wędrowną w postaci pucharu, za co otrzymał oddzielne podziękowanie z dnia 26 września 1952, podpisane przez wyżej wymienionych — Prezesa i Sekretarza Związku.

4. Wreszcie, w dniu 19 maja 1953 Skarb Narodowy wypłacił Związkowi Sokółów Polskich we Francji dotację w wysokości 50.000 fr. czelem „barré” na imię Sekretarza Związku pana Stanisława Ostojaka — Nr 2676804 PD, Seria S. Banku Crédit Lyonnais. Czek ten został zrealizowany przez Bank w dniu 3 czerwca 1953. Razem 100.000 franków.

Tyle w imię prawdy i rzetelnej informacji.

O ile P.T. Redakcja uzna za stosowne opublikowanie pisma Związku Sokółów Polskich z dnia 25 czerwca 1958 r., proszę uprzejmie o równoczesne zamieszczenie powyższego stwierdzenia. Łączę wyrazy szczerzego szacunku i poważania.

Antoni BARANOWSKI,
Skarbnik Zarządu
Polskiego Skarbu
Narodowego we Francji
Paryż, dn. 5 lipca 1958 r.

KONFERENCJA W VELBERT — SPROSTOWANIE

Wielce Szanowny Panie Redaktorze, W związku z artykułem „Konferencja byłych „Kacetowców”, umieszczonym w numerze 26-tym z dnia 28 czerwca br. Jego pozytywnego pisma, pozwałam sobie prosić o umieszczenie następującego sprostowania:

Konferencja, która odbyła się dnia 7 czerwca br. w Velbert, nie była „Konferencją byłych Kacetowców”, lecz trzech prawników, mecenasów: M. Chmielewskiego, M. Mikolajewskiego i E. Szabelskiej, oraz trzech byłych deportowanych obozów niemieckich („kacetowców”), kolegów: W. Grochowski, K. Odobnego i H. Zabielskiego (wymieniam w porządku alfabetycznym).

Drugą doniosłą nieścisłością jest

STEFAN LEGEZYŃSKI

PERSONALIZM I EGZYSTENCJALIZM

EMIGRACJA ma wspaniałe nazwiska publicystów i poetów, z prozaikami jest raczej słabo, a z krytykami — źle. To może jest przyczyną, że się krytyki nie docenia, i te nieliczne prace, które się ukazują, mijają niemal bez echa.

Jednym z najwybitniejszych polskich krytyków o wspaniałym dorobku tak przed wojną, gdzie zasłynął w krytyce teatralnej, jak i emigracyjnym, jest Tymon Terlecki.

Nie powinno się pozwolić, by dwa jego dzieła krytyczne, które wyszły w odstępie roku: „Krytyka personalistyczna” (Londyn 1957) i „Egzystencjalizm chrześcijański” (Londyn 1958), oba nakładem londyńskiej „Oficyny Poetów i Malarzy” dotarły tylko do nielicznych rąk.

Obie książki, po raz pierwszy w literaturze polskiej, pomijając nieliczne artykuły w czasopiśmie, na te tematy, sprawy „personalizmu” i „egzystencjalizmu chrześcijańskiego” naświetlają wyczerpująco.

Twórca miesięcznika „Esprit” Emmanuel Mounier rozstrawił słowo „personalizm”, który z dodaniem przymiotnika „chrześcijański” oznacza dla wie lu ludzi ruch wywołany przez niego. Właściwym jednak wynalazcą słowa i pojęcia był Charles Renouvier, który głosił, że osobowość jest najwyższą kategorią i usiłował z doktryny osobowości uczynić świecką religię. Personalizm ma szereg linii w wielu narodach i ich osiągnięcia myślowe personalizm mounierowski włączył w swój nurt. Główny przedstawiciel egzystencjalizmu chrześcijańskiego: Gabriel Marcel, był specjalnie, mimo różnic, bliski Mounierowi.

Przed ostatnią wojną pojawili się w Polsce krytycy personalistyczni z najwybitniejszymi: Tymonem Terleckim i Hieronimem Michalskim na czele. Dlatego też książka napisana przez człowieka, który stosuje od ponad 20 kilku lat zasady krytyki personalistycznej w swej krytycznej twórczości, jest specjalnie wartościowa.

Dr Terlecki wyjaśnia, że krytykę personalistyczną wyprowadza się z założenia, że każdy akt tworczy jest aktem osobistym, każde dzieło jest zna-

FUNDUSZ Akcji Polskiej

Odpowiadając na wezwanie gen. Władysława Andersa, Prezesa Głównej Komisji Skarbu Narodowego, oraz p. Adama Ciołkosza, Przewodniczącego Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego na Fundusz Akcji Polskiej wpłacili:

NA LISTO NR 2: PP. W. Piekarski 1.000, G. Tysowski 1.000, J. Bociński 1.000, K. Romanowicz 1.000, J. Groger 500, A. Trzaska-Durski 1.000, ks. Fl. Kaszubowski 1.500, M. Czarncki 1.000, A.B. Rozen 1.000, Wł. Gordowski 1.000, L. Strutyński 1.000, Junosza-Dąbrowski W. 1.000 RAZEM 12.000 fr.

NA LISTE NR 6: PP. Bolesława Kosielska 3.000, W. de B. 2.000, H. Cywiński, Dyr. Biura Podróży „Europa” 7.500, Bobkowsy 2.500, Tamara Rawicz 500, Jadwiga Świerczewska 500, Baranowsy 1.000, E.U. 1.000. RAZEM 18.000 fr.

NA LISTE NR 7: PP. J. Kossowski 300, Kułakowski 1.000, X. Y. 200, X. Y. 200, X. Y. 300, Szewalski 400, Linderman 500, M. Jurkiewicz 200, Siła-Nowicki 500, Fiałkiewicz 500, Du Chateau 1.000, Borowski 200. RAZEM 5.300 fr.

NA KONTO W C.C.P.: PP. A. Kawalkowski 5.000, Nowowiejska 300, Zdzisław Metz 2.000, Stanisław Kaczor 500, S. Suwała 500. RAZEM 8.300 fr.

GOTÓWKĄ WPŁACILI: PP. Leokadia Bartesik 1.600, R. Szystowski 500. RAZEM 2.100 fr.
ŁĄCZNIE 45.700 franków.

twierdzenie autora artykułu, że mec. E. Szabelska wzięła udział w Konferencji „z ramienia Związku we Francji”.

Nic podobnego. Wysucha ongię zasługi mec. E. Szabelskiej jako obrońcy naszych kolegów deportowanych w procesach o odszkodowanie niemieckie — ze względu zasadniczych nie delegowaliśmy jej na konferencję w Velbert. Mec. E. Szabelska nie była bowiem — na szczęście dla niej — deportowaną, nie może więc należeć do naszego Związku.

Do spraw poruszonych w wymienionym artykule, a interesujących niewątpliwie licznych kolegów naszych, uważnych czytelników „Syreny”, pozwolimy sobie wrócić w przyszłości, przedstawiając punkt widzenia Zarządu naszego Związku.

Łączę dla Pana Redaktora wyrazy prawdziwego szacunku i szczerzego oddania

Witold Grochowski
Sekretarz Gen. Polskiego Związku
b. Deportowanych i Więźniów
Politycznych we Francji
Paryż, 30 czerwca 1958.

OD REDAKCJI. — Jak to wyraźnie zaznaczyliśmy w poprzednim numerze „Syreny”, sprawozdanie z konferencji w Velbert zostało nam nadesłane przez Zarząd Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych w Londynie.

BILETY z POLSKI do FRANCJI

POLSKIE CENTRALNE BIURO PODRÓŻY

“EUROPA”

21 lat istnienia

46. rue de Rivoli, PARIS (4^e)

TELEFON: Archives 21-21

Métro: Hôtel de Ville (sortie: Lobau)

Dyrekcja: Henryk Cywiński, b.długoletni Dyr. Pol. Biura Podr. „Lubin”

BILETY: Kolejowe — Okrętowe — Lotnicze — na cały świat (Po cenach oficjalnych)

— Codziennie odjazdy (indywidualne) —
Rezerwacja miejsc zwykłych i „Wagons-Lits”
Zalatwienie wiz tranzytowych Aller-Retour 2 dniach

BRUXELLES Podróże indywidualne i grupowe

LOURDES Wyjazdy indywidualne

ociągami lub autokarem

Biuro w którym mówi i pisze się po polsku.

Pisz z Kraju

JESLI październik nie przyniósł rodom w Kraju oczekiwanych zmian i wolności, to pozwolili im przynajmniej w listach prywatnych wypowiedzieć odważnie swe myśli. Oto jeden z takich listów.

„U nas — pisze mi po 13 latach mój przyjaciel z lat szkolnych — mamy moc harówki. Pracuję często godzin 14 dziennie. Jest to doprawdy orka na ugorze. Młodzież bardzo słabo przygotowana do studiów i tak nic nie umie, że co rusz wylażą braki. Z drugiej strony, tempo szkolenia jest tak szybkie, że w rezultacie wychodzą rozparzone nieuki. Przy tym młodzież uczyć się nie chce, bo ciągle widzi, że bez nauki lepiej się żyje i zarabia niż z wyszkoleniem. Ale sądzę, że to przemienie i że wyjdziemy na dobrą drogę poszanowania pracy i wiedzy.

„W tym tylko pociecha, że mimo ciężkich warunków, mimo demoralizacji i ogłupień przez lat 13, nie straciła ona wszystkiego. Szczerby są, odpryski pokazane, ale widać jakość przeszła zwycięsko najgorszą próbę. Wykazał to październik.

„Zainteresuje cię pewnie los niektórych naszych znajomych? Pomału cię kie życie nas wszystkich wykrusza. Na nie produkująca nauka sowiecka, która umie przedłużać życie do lat 150! Chciałbym ja takiego pacjenta wiedzieć na własne oczy, to wtedy uwiary! Stopniowo ten nimb blednie. Odpady takie bożki, jak Eysienko i spółka. Nasi koryfeuse nowej, przodu jacy nauki coraz częściej się kają i odzegnują od niedawno jeszcze głozonej dogmatów. Niedawno jakaś profesor dr Makarewicz publicznie odwołała swoje błędy Eysienkowskie. Jak taka baba nie wstydzi się podpisać tytułem profesor i doktor? Na to trzeba mieć wytarte czoło i ani sztyl jakiegóżności osobistej, ludzkiej i narodowej.

„Znałeś zapewne p. St. Kulczyńskiego rektora Uniwersytetu Lwowskiego przed wojną. Mówią, że to dobry był botanik. Po wojnie duże położył nawet zasługi przy organizacji nauki, szczególnie we Wrocławiu, ale zraził sobie wielu naukowców i ludność Wrocławia. W ostatnich wyborach przeszedł na rozkaz Gomułki. Dziś, obrażony, porzucił Wrocław i naukę i przeniósł się do Warszawy, do wielkiej polityki. Jest przeciwieństwem Rady Państwa. Wlaź w politykę, w której niczego nie wypolitykuje, bo trudno, by Aristoteles dogadał się z wołem. A w botanice miałby może coś więcej do powiedzenia. Co gorzej, w ferworze politykierstwa i ogólnej obudy, głosił publicznie takie głupstwa, że przed wojną nie było prawdziwej nauki. Rozumiem! Przed wojną 4 x 4 było albo 15 albo 17, a dopiero po wojnie, w Polsce „ludowej”, jest 16. Ile to lat straconych, by dowiedzieć się prawdy! I on się takich głupstw nie wstydził gadać! Gdzie on podziął rozum i godność uczoności? Jeśli nie było prawdziwej nauki, to jak on mógł zostać profesorem Uniwersytetu, nawet rektorem? Na podstawie jakich prac? Czyżby nie naukowych?

„I oto widać, jak wygląda logika, przesześciopona z Moskwy! Kupy się to nie trzyma. Co innego doktryna, a co innego życie. Nie zdaje to egzaminu. A jednak „perat mundus fiat... doctrina”. Szczęście, że nie wszyscy na si uczeni przejęli się tą nową nauką. Wielu, zdala od polityki, zagrzebani po uszy w pracy, robią, piszą, mimo iż na publikację, jeśli one nie wnoszą czynników politycznych i nie idą po myśli partii, długo trzeba czekać, chociaż tysiące tomów różnych budur wychodzi. Trzeba umieć uchwycić frapujący temat, względnie mieć dostęp przez partię do tych, którzy decydują o druku. Albo wreszcie dać dobry tytuł. Jeden z naszych uczonych, długie lata poświęcił studiom rasy naszego byda. Cóż kiedy tylko tytuł — „Czerwone bydo w Polsce” zaważył, że praca ta, bardzo cenna, nawet w popaździernikowych czasach, druku się nie doczekała. Takich przykładów są setki, tylko brak miejsca i czasu na ich wyliczanie.

„Co słychać u was? Liczymy na was i wasz zdrowy rozsądek, bo wzdrowiej życie atmosfery i w pracy jesteście niezależni.

„Wprawdzie nasze dzienniki i radio karmią nas tu złościwą propagandą, że się wynaradawiacie, że dolar i zasz czyty są waszym dążeniem, żeście skłóceni, że rozbić po drobnych partiach! Trudno nam tu w to uwierzyć! Jedni te między bajki wkładam. „Jeśli jednak czas ci pozwoli, daj mi choćby w krótkich zarysach obraz emigracji”.

Twój M. M.

WSRÓD KSIĄZEK

Wielce Szanowny Panie Redaktorze! Z upoważnienia Zarządu Skarbu Narodowego we Francji dziękuję Panu Redaktorowi za przesłanie do wglądu pisma Związku Sokółów Polskich we Francji z dnia 25 czerwca r. Pismo to stwierdza kategorycznie, że Związek Sokółów Polskich we Francji nigdy nie otrzymał od Skarbu Narodowego kwoty 100.000 fr., o czym wspomina w swoim liście Prezes Skarbu Narodowego we Francji p. profesor Zygmunt Dygat. List Prezesa Z. Dygata był opublikowany przez WPanów w numerze 22 „Syreny” z dnia 31.5.58.

Już sam tytuł jest zaskakujący, pojęcie egzystencjalizmu bowiem na ogół łączy się z twórczością Sartre'a, która jest antychrześcijańska. Ale jak mówi nam Terlecki, pojęcie egzystencjalizmu jest bardzo rozległe i historycznie rzecz biorąc jest on rodowodem chrześcijańskiego. Terlecki zaznaja-

mia nas z historią egzystencjalizmu, sięgającą według Julien Benda do czasów greckich, i zatrzymuje się dłużej nad duńskim filozofem Kierkegaardem, któremu przynajmniej ojcostwo filozofii egzystencjalnej.

Egzystencjalizm ma swą lewicę i prawicę; do tej ostatniej należą: Maurice Blondel, Gabriel Marcel i Maritain.

Marcel, z którego zyciorysem i piórami literackimi zaznajamia nas dokładnie książka Tymona Terleckiego, jest pisarzem i filozofem jednocześnie, jego dzieła reprezentują rozmaite aspekty chrześcijańskiego egzystencjalizmu.

W pojęciu Marcela był też związek osobowy. Między osobami, między ludźmi, istnieje wzajemna współzależność przeznaczeń. Ten ciąg związków osobowych kończy się na związku z Bogiem.

W egzystencjalizmie chrześcijańskim znajdujemy krzepającą i radosną pojęcie wspólnoty z innymi, ze światem, z Bogiem.

Stefan Legezyński

Zgon wielkiego przyjaciela emigrantów

DNIA 24 czerwca zmarł na serce Pierre Commin, senator w Radzie Państwa, zastępca sekretarza francuskiej partii socjalistycznej, postać wybitnie zarysowana w życiu politycznym Francji. Strata jest wielka, ale nie tylko dla świata politycznego francuskiego: emigracje wszystkich narodów zża żelaznej kurtyny utracił gorącego, żarliwego rzecznika swych dążeń i swoich praw, przedstawianych i bronionych w wolnym świecie.

Pierre Commin pochodził z rodziny rolniczej, urodził się w r. 1907, w wiosce Saint-Martial (Haute Vienne), od r. 1930, to jest od wczesnej młodości wszedł w życie partii socjalistycznej. W czasie wojny „nie przyjmując klęski, wybiera natychmiast walkę podziemną, walczą na jednym z najniebezpieczniejszych posterunków, jako dowódca departamentalny Seine-et-Oise, w organizacji „Ceux de la résistance”. Towarzysze walki, którzy go dziś oplakują, wiedzą czym było jego męstwo i wydatność jego czynu”. Tak mówił w mowie pożegnalnej Guy Mollet.

Wybrany do Zgromadzenia Narodowego, które wypracowywało podstawy IV Republiki, potem jako senator do Rady Republiki, był Pierre Commin jednym z najbliższych i najserdeczniejszych współpracowników Guy Mollet'a, a przez szereg lat pełnił funkcje zast. sekretarza partii SFIO.

Człowiek, który nie chciał przyjąć klęski 1940, nie mógł również przyjąć nowego imperializmu, który wyłonił się z oparów drugiej wojny światowej — ze słabości zwycięzców. Od samego początku nowego okresu, który nastąpił po zwycięstwie aliantów, a po zwycięstwie Związku Sowieckiego w szczególności, występuje on jako człowiek, który wyraźnie to niebezpieczeństwo wy-czuwał i dostrzegał. Był jednym z nielicznych, którzy rozumieli tragedię narodów Wschodniej Europy, na nowo ujarzmionej, a także postawę emigracyj ty narodów. Znalezli one w nim gorącego przyjaciela i obrońcę.

Polacy pamiętają jego silny i zdecydowany głos podczas potężnej manifestacji SFIO w Salle Wagram, 12 lipca 1956, w obronie robotników Poznania. Przyjaciele Biblioteki Polskiej w Paryżu nie zapomną nigdy, że jego głos i jego słowa, wypowiedziane na tej manifestacji w obronie Biblioteki, jej wolności i niezależności zagrożonej przez reżym narzucony Polsce — były pierwszą publiczną manifestacją francuską w tej sprawie.

Pogrzeb odbył się w sobotę 18 czerwca na cmentarzu Ivry-Parisien. Brały

w nim udział liczne grupy uchodźców różnych narodowości, składając wieńce i wiązki kwiatów.

C. C.

Zebranie Instytutu Wschodniego «Reduta»

W miesiącu czerwcem odbyło się w Londynie doroczne zebranie Instytutu Wschodniego „Reduta”, założonego na Srodkowym Wschodzie przed jedenastą laty przez Jednostki Wojska Polskiego na Wschodzie.

Celem założonej organizacji było zapoznanie Polaków z problemami politycznymi świata arabskiego oraz szerzenie wiedzy o Polsce wśród państw Środkowego Wschodu przy pomocy wy-dawnictw w językach angielskim, francuskim i arabskim oraz odczytów.

Przeniesiony do Londynu w 1948 r. wraz z armią polską ze Wschodu Instytut Wschodni „Reduta” kontynuuje nadal swoją pracę, a nawet rozszerzył swoje zainteresowania na wszystkie bez wyjątku problemy świata wschodniego, a nie tylko arabskiego. Z dyskusji na dorocznym zebraniu po sprawozdaniach władz zarządu wynika, że działalność „Reduty” w ubiegłym roku była żywa i wywoływała zainteresowanie wśród uchodźstwa polskiego.

W okresie sprawozdawczym w Instytucie były wygłoszone następujące odczyty: 1) Dr M. Grażyńskiego — Stanowisko Niemiec wobec rokowań między Zachodem i Rosją; 2) Dr J. Janakowskiego — „Rzeczywistość sowiecka w świetle czterdziestolecia rewolucji bolszewickiej”; 3) Dr St. Męcarskiego — „Stosunki niemiecko-ukraińskie podczas drugiej wojny światowej w świetle najnowszych badań”; 4) Prof. H. Paszkiewicz — „Świadomość narodu dawnej Rusi”; 5) Ministra M. Sokolowskiego — „Obecne stosunki handlowe między Polską i Wschodem”.

Po dyskusji nad sprawozdaniem zarządu doroczne zebranie udzieliło absolutorium ustępującym władzom. Po zebraniu odbył się w przepelnionej sali odczyt Prof. St. Kościelkowskiego p.t. „Ugoda Hadziacka z 1658 r. — w 300letnią jej rocznicę”.

Instytut Wschodni „Reduta” posiada bibliotekę liczącą około 4 tysięcy tomów.

Walne zebranie dokonało wyboru władz na nowy okres w składzie analogicznym jak w minionym okresie sprawozdawczym.

Koniec roku szkolnego w Les Ageux

TRZYNASTKA jest chyba cyfrą szczęśliwą. Taki w każdym razie nasuwa wniosek skromna, lecz jakże podnosząca na duchu uroczystość zakończenia roku szkolnego w niepodległościowym gimnazjum — liceum Les Ageux, które było trzynastą z rzędu promocją maturzystów.

W sobotę 28 czerwca odbyło się tradycyjne ognisko, połączone z apelem poległych w walce z wrogami Polski profesorów i uczniów szkoły. W niedzielę 29 czerwca przed południem uroczystą mszę św. odprawił ksiądz prefekt Ziółkowski (były wychowawca szkoły), wygłaszając piękne okolicznościowe kazanie. Następnie pod przewodnictwem prof. Władysława Folkińskiego z Londynu — które wygłosił świetne co do formy i głębokie co do treści przemówienie w języku polskim i francuskim — odbyło się rozdanie świadectw. Dyrektor Mieczysław Jurkiewicz poprzedził je krótkim referatem, wykładając zasady ideowe i względy praktyczne stanowiące podsta- wy istnienia szkoły i jej uzasadnienie. Świadectwa naturalnie otrzymali: Karol Chomyn, Andrzej Jurkiewicz, Eugeniusz Wierzbicki, Krystyn Rembański, Ryszard Orman, Edward Tomicki i Jerzy Palichleb, 7 kandydatów na 9-ciu.

W poszczególnych klasach najlepsze wyniki uzyskali: klasa 1-sza gimnazjalna — Krystyna Dawidówna, klasa 2-ga — Zbigniew Wierzbica, klasa 3-cia — Kazimierz Markowski, klasa 4-ta — Ludwika Jaornikówna, klasa 1-sza licealna — Artur Martyniak i Franciszek Wierzbicki ex aequo.

W dalszym ciągu uroczystości przemówił długoletni francuski przyjaciel szkoły, prof. Cottaz, a następnie w imieniu Oddziału T.R.J.N., C.Z.P., Skarbu Narodowego, Tow. Przyjaciół Les Ageux, Harcerstwa, Tow. Opieki nad Grobami Zasłużonych Polaków, Zw. b. deportowanych, Syndykatu Dziennikarzy, Redakcji „Syrena” — p. Edmund Urbanowicz p. Jan Szymański, gen. Wacław Piekarski, p. Wanda de Boisgontier, red. Wiktor Junosza-Dąbrowski. W imieniu tegorocznych maturzystów głos zabrał p. Karol Chomyn, w imieniu rodziców p. Świechowiska.

Po wspólnym obiedzie, który przeszedł w niezwykle miłej atmosferze, rozegrany został mecz siatkówki. Słoneczna pogoda uwytkła jeszcze ogólną nutę optymizmu, która nada- wała ton całej uroczystości.

Świadectwa naturalnie otrzymali: Karol Chomyn, Andrzej Jurkiewicz, Eugeniusz Wierzbicki, Krystyn Rembański, Ryszard Orman, Edward Tomicki i Jerzy Palichleb, 7 kandydatów na 9-ciu.

W poszczególnych klasach najlepsze wyniki uzyskali: klasa 1-sza gimnazjalna — Krystyna Dawidówna, klasa 2-ga — Zbigniew Wierzbica, klasa 3-cia — Kazimierz Markowski, klasa 4-ta — Ludwika Jaornikówna, klasa 1-sza licealna — Artur Martyniak i Franciszek Wierzbicki ex aequo.

25-lecie Rezerwistów w Mazingarbe

W niedzielę 22 czerwca br. w Mazingarbe odbyła się piękna uroczystość kombatancka: Koło Związku Rezerwistów i b. Wojskowych obchodziło 25-lecie swego istnienia.

W godzinach przedpołudniowych odprawiona została msza św. na intencję Koła. Ks. Bandorz wygłosił przy tym podniosłe kazanie. Nawiązując do wielkich zasług polskiego żołnierza, kaznodzieja wzywał wszystkich polskich kombatanatów do skupienia się pod sztandarami kombatanckimi, a społeczeństwo polskie — do popierania tych stowarzyszeń, które dla sprawy polskiej najwięcej się poświęcają.

Po południu odbyła się piękna akademicka, którą zagałi prezes Koła kol. Hanczak. Miejsowa dziatwa ładnie się spisała swym śpiewem i obrazkami scenicznymi, chór wychowanków zakładu Ofców Oblatów pod dyktando ks. Olejnika wspaniale odspiewał szereg piosenek. Wypełniona po brzegi sala Patronatu grzmiała od oklasków zachwyconej publiczności.

ZAPISY DO POLSKIEGO GIMNAZJUM-LICEUM LES AGEUX NA NOWY ROK SZKOLNY 1958/59

Przyjmowanie nowych kandydatów i kandydatek na rok szkolny 1958/59 do wszystkich sześciu klas szkolnych Polskiego Gimnazjum-Liceum Les Ageux odbywać się będzie w pierwszym terminie przez cały miesiąc lipiec, w drugim w ciągu miesiąca września. Niezależnie od tego sekretariat szkoły, czynny przez cały okres wakacyjny, udziela wszelkich niezbędnych informacji i nadsyła na żądanie Prospekt szkoły na rok 1958/59.

Zaznaczamy, że szkoła w Les Ageux to zakład koedukacyjny z internatem, o sześcioletnim programie nauczania w języku wykładowym polskim, przygotowujący młodzież do studiów uniwersyteckich zarówno we Francji, jak w krajach Zachodu. Szczegóły i warunki przyjęcia podaje wspomniany Prospekt — do otrzymania w sekretariacie: Licee Polonais Les Ageux, par Pont-St-Maxence (Oise), France. Dyrekcja Pol. Ginn-Lic. Les Ageux.

Na akademii przemawiali: p. Franciszek Kędzia, prezes Federacji Polskich Obronców Ojczyzny we Francji; p. M. Kwiatkowski (junior), przedstawiciel „Narodowca”; ks. Bandorz; p. L. Suski, prezes II Okręgu Zw. Rez. i b. Wojsk. Wszystkie przemówienia nacechowane były gorącym patriotyzmem, wszyscy mówcy wzywali rodaków dołączenia się w obronie sprawy polskiej.

Po przemówieniach prezes Federacji POO udekorował kol. Robakowskiego, założyciela Koła, medalem „Encouragement”, nadanym zasłużonemu działaczowi kombatanckiemu przez Kapitułę tego odznaczenia.

Na zakończenie miejscowy zespół odegrał piękną sztukę teatralną.

Zarządowi z prezesem Hanczakiem na czele oraz wszystkim członkom Koła w Mazingarbe należą się słowa szczerzego uznania.

ZE ZWIĄZKU INŻYNIERÓW

Zarząd Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich we Francji podaje do wiadomości, iż w wyniku ostatnich wyborów skład władz Stowarzyszenia przedstawia się następująco: kol. Julian Moszyński — prezes; kol. kol. Irena Damasiewicz, Mieczysław Hildebrandt, Tomasz Jelowicki, Witold Maj, Jan Nagurski, Mieczysław Opatowicz, Romuald Prewysz-Kwinto i Jan Sultma-Swiechowski — członkowie zarządu i ich zastępcy.

Koleżdy Janusz Deryng (Lille) i Jan Głębocki (Grenoble) będą nadal reprezentować Stowarzyszenia na tych placówkach.

Zarząd Stowarzyszenia

Zasłużone półrocze

22 czerwca zakończyło się półrocze działalności Klubu „Sokoła”, który miał w tym dniu swój ostatni przedwakacyjny „Wieczorek Literacki”. Był on też więcej urozmaicony i zakończony wspólną zabawą, podczas której uczestnicy tańczyli i bawili się do późnej pory.

Wieczorek rozpoczął p. red. Matuszewski odczytaniem wiersza Konstantego Dobrzyńskiego p.t. „Alkazar”; następnie odczytał artykuł p. Stanisława Paczyńskiego p.t. „Nowa zbrodnia sowiecka”, który ukazał się w „Syrenie” w Nr. 25/1958. Artykuł ten wywarł wielkie wrażenie na słuchaczach i został przyjęty oraz komentowany z wielkim owymieniem.

Potem czytał p. Matuszewski „dalszy ciąg” noweli-satyry — o lesie, poziomkach, słońcu i przystojnych gajowych, pilnujących wyczasowiczów przebywających na „Wakacjach w Orzechowie”. Opowieści o wakacjach nasunęły myśl obecnym, że już nadeszły te wakacje i z wielkim żalem trzeba się pożegnać z „Wieczorkami Literackimi” — aż do września!

P. prof. Tyrowicz był nastrojony na nutę „rządów” — wina to ostatnich wypadków w rozszewconej Francji, oczywiście! — zaczął więc pogadankę o rządach Katarzyny Medycyjskiej, Franciszka I (jej teścia), by dojsz do sedna swego wykładu, którego właściwą treścią był Ronsard. Przeskoczyliśmy więc parę wieków wstecz, na dwór Katarzyny, gdzie czarował zagranicznych gości i dyplomatów jej tak starannie dobrany „escadron volant”. Wśród tych pięknych dziewcząt, wybranych spośród rodzin arystokratycznych, znajdowała się Helena de Fonsèque, Mademoiselle de Surgère, muza podstarzałego już wtedy poety Pierre de Ronsard. Profesor Tyrowicz wprowadził nas ze sobą do sal archiwum, gdzie są przechowywane dokumenty epoki, i podzielił się radością, kiedy udało mu się znaleźć własnoręczny podpis Heleny de Fonsèque na kwicie wypłaty. Przypuszczam, że praca, którą zamierza wydać prof. Tyrowicz, będzie równie ciekawa, jak jego odczyt w Klubie o sławnym Ronsardzie.

Następnie p. Lubniewski przytoczył krótkie wyjątki z dzieła pisarza amerykańskiego p. John Gunther'a p.t. „Dzisiaj wewnątrz Rosji”, z czego wynika, że Rosjanie są niezadowoleni z tego lub owego w życiu codziennym, ale wszyscy są bardzo zadowoleni i cieszą się z osiągnięć militarnych Rosji w drugiej wojnie światowej i wszyscy razem pragną te

LEFOREST. — Koło Związku Rezerwistów i b. Wojskowych podaje do wiadomości swych członków i sympatyków, że miesięczne zebranie Koła odbędzie się w niedzielę 13 lipca br. o godz. 10.30 w Café Variétés. Obecność wszystkich członków jest pożądana. Za Zarząd: Jan Kubiak

AUBY. — Półroczne zebranie Koła Związku Rezerwistów i b. Wojskowych odbędzie się w niedzielę 13 lipca br. o godz. 3-ciej po południu w lokalu pani Augustyniak. Są ważne sprawy do omówienia. O licznym przybyciu członków prosi Zarząd.

zdołacie utrzymać a nawet i więcej jeszcze zagarnąć. Nasz nieoceniony znawca języka angielskiego został nagrodzony oklaskami za ten dosadny i zrozumiały odczyt o zaborcach zza żelaznego płotu.

Ze względu na okres wakacyjny, odnawianie lokalu i porządkowanie biblioteki, „Wieczorki Literackie” zostaną wznowione dopiero we wrześniu 1958. Zawiadomienie o tym ukazuje się w „Wiarusie Polskim”, wychodzącym w Lille, i „Syrenie”, wychodzącej w Paryżu. Jak już Czytelnicy mogli się przekonać, te dwa polskie tygodniki są szczerze oddane kulturalnym i patriotycznym sprawom polskim, za co należą się im prawdziwe uznanie. Sztetka

PIEŚŃ O BERNADECIE

Franciszek Werfel — „Pieśń o Bernadecie”, powieść w dwu tomach. Tom I, str. 272, tom II — str. 240. Oba tomy oprawione razem, w pięknej oprawie, ze złoconymi i barwną obwolutą. Nowe wydanie jubileuszowe. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” w serii powieściowej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, 1958. Cena 30/- lub \$2.50.

CAŁY świat katolicki łączy się w obchodach poświęconych pamiętnym objawieniom, jakie przed 100 laty miały miejsce w Massabielskiej Grocie w Lourdes, a dzięki którym, za pośrednictwem św. Bernadety, świat otrzymał nowe wezwanie Najświętszej Maryi Panny do modlitwy i do pokuty. Od tego czasu Lourdes stało się miejscem kultu maryjnego, słynnym z cudów i łask.

Jednym ze świadków tych cudów i czołowiekiem, który sam łaski szczególnej doznał, był inowierca, Żyd, Franciszek Werfel. Losy wojny rzuciły go w nieznaną mu przedtem okolice Pirenejów. Czasowe schronienie znalazł w Lourdes. Za cudowne wyratowanie go od mściwych rąk hitlerowskich wyśpiewał Werfel, jak umiał najpiękniej, swą opowieść o Bernadecie i jej niezwykłych wizerach. To świadectwo jest i wstrząsającym, najbardziej przekonującym i chyba najpiękniejszym opisem tak dla wierzących, jak i niewierzących.

Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas” w Londynie, chcąc uczestniczyć w uświetnieniu obecnego jubileuszu, wydał ponownie w ramach „Biblioteki Polskiej” tę wspaniałą powieść bez fikeji literackiej, w nadziei, że dotrze ona do rąk polskich Czytelników tak na uchodźstwie jak i w Kraju.

Miliony pielgrzymów udadzą się w tym roku do Lourdes, by tam na miejscu przeżywać wzniosłe chwile. Stokroć jednak więcej osób nie będzie mogło pozwolić sobie na ten kosztowny wyjazd. Każdy jednak — kto chce — może przeżywać ponownie dramatyczne a wspaniałe chwile objawień Bernadecie, przez lekturę. Z całym przekonaniem polecić można właśnie książkę Werfela.

Polacy w Kraju nie będą mogli wysłać nawet delegacji do Lourdes, a o wydaniu książki Werfela nie mogą nawet marzyć w obecnym ustroju. Pozostaje więc tylko możliwość przesłania tej książki jako daru naszym znajomym i krewnym, by umożliwić im choć w ten sposób uczestniczenie w jubileuszu stulecia Lourdes.

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych (Extrait Orchitique KALEFLUID)

Używanie naszego wyciągu polepsza na ogół w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Bezpłatnie wysyłamy opis „sposób użycia” po polsku.

LABORATOIRE S. KALEFLUID (Export) 66, Bd Exelmans — PARIS (16) (V.P. 21.331)

D. DOWOJNA-BIENAIME Tłumacz Przysięgły przy Sądzie 1-szej Instancji i Sądzie Apelacyjnym w Paryżu 23, Quai de la Tournelle, 23 Metro: St-Michel, Pont-Marie, Maubert PARIS 5^e Telefon: ODEON 41-17

BIURO PRAWNIKA w PARYŻU Abs. Praw Uniw. Paryskiego, doświadczony emigr. od 1924 we Francji MARIAN JAROSZYK Expert-Traducteur-Jure 34, rue de Maubeuge, 34, Paris 9^e Telefon: TRU 68-88; metro: Cadet TŁUMACZENIA URZĘDOWE ważne w całej Francji SPRAWY: Metryk, ślubów, naturalizacji, pełnomocnictw na kraj, procesów sędziowskich, rent, wypadków, Dipłomów, paszportów, certificat de coutume, podań do Ministerstwa, Prefektur, Konsulatów amerykańskich i innych. Piszcze z zaufaniem. Natychmiastowe załatwienie w Paryżu bez potrzeby przyjazdu.

Z Hayange do Paryża

Koło Rez. i b. Wojsk. w Hayange komunikuje, że wycieczka do Paryża, która miała się odbyć od 23 do 28 lipca, została przełożona na sierpień, tj. od 15 do 20 sierpnia br. Wycieczka została przełożona celem ulepszenia programu wycieczkowiczów. Koło zaznacza, że zwiedzanie Paryża odbędzie się autobusem.

Jednocześnie komunikujemy, że mamy jeszcze parę wolnych miejsc. Zapisy przyjmują pp. prezes Koła A. Rzepa, 47, rue Odile, Seremange (Moselle); wiceprezes W. Kowalski, 19, rue Pasteur, Nilvange (Moselle); sekretarz M. Dąbrowski, 11, rue Cote des Dames, Nilvange (Moselle); referent W. Karmelita, 155, rue de Verdun, Hayange (Moselle). Przy zapisie należy wpłacić 4.500 fr., resztę — w dzień odjazdu.

Zarząd

Ś P ANDREE ŁOPINSKA z domu Basquin po krótkich cierpieniach, opatrzona Św. Sakramentami, zasnęła w Bogu 15 czerwca 1958 r. w Neuilly-sur-Seine i pochowana została w grobie rodzinnym na polskim cmentarzu w Montmorency. Pogrzeżeni w głębokim smutku MAŻ, SIOSTRA, SZWAGIER i RODZINA

KUPON ANGIELSKIEGO MATERIAŁU NA UBRANIE — 5.000 FR. GOTÓWKĄ — PRENUMERATY PISM — RYNGRAF SREBRNY Z MATKĄ BOSKĄ CZĘSTOCHOWSKĄ — KSIĄŻKI — PERFUMY WODĘ KOŁONSKĄ wygrać można w KONKURSIE ogłoszonym przez „LIBELLÉ” Szczegóły wysyłamy na żądanie. Podajcie nam Wasz adres pisząc do: „LIBELLA” 12, rue St-Louis-en-l'Isle - PARIS-IV (Metro: Sully-Morland) — Tel. DANton 51-09

JEDYNA POLSKA FABRYKA WĘDLIN W PARYŻU kierowana przez b. kombatanów „REX” — ROK ZAŁOŻ. 1929 16, rue des Boucheries, ST-DENIS (Seine). — Tel.: PLA 05-54 Poleca wszystkie wędliny polskie w najlepszym gatunku, wyrabiane przez specjalistów dyplomowanych z Polski. SPRZEDAŻ WYŁĄCZNIE HURTOWA I EKSPORT. Żądajcie wyrobów firmy „REX” w pierwszorzędnym sklepach francuskich i rosyjskich, a szczególnie w jedynym polskim sklepie spożywczym w Paryżu, pod kierownictwem p. LEBIODY 4, rue de Fourcy, Paris 4^e. — Métro: Saint-Paul.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: 20, rue Legendre — PARIS (17^e) Telefon: WAGram 00-45. Konto czekowe: C.c. Paris 5507-30 OGLOSZENIA: 1 cm 1-tomowy 200 fr. W tekście 50%, na 1-ej stronie 100% drożej. DROBNE OGLOSZENIA: Poszukiwania pracy: 150 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 40 fr. Zoofiarowanie pracy: 250 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 50 fr. Kupno-sprzedaz: 350 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 50 fr. Matrimonialne: 400 fr. za 4 wiersze, za każdy dalszy 50 fr. — Rekopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze odpowiedzialności. ● PRZEDSTAWICIELSTWA: Francja Północna: Inż. Eugeniusz Tuszewski, 107, rue Royale, Lille (Nord), tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône: Var, Vaucluse: Stefan Horodyski, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône). Belgia i Luksemburg: Mme Janina Korab-Brzozowska Casaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, c. p. 73 15 20. Wielka Brytania: Zarząd Gł. SPK (dla „Syreny”), 18-20 Queen's Gate terrace, London S.W.7., gotówka lub Postal Order. Szwajcaria: Mr. Janusz Rakowski, Mainaustr. 28, Zurich 1. Stany Zjedn. Ameryki Półn.: Gryf Publications 615, Henry Str. Utica, N. Y. ● WARUNKI PRENUMERATY: We Francji: kwartalnie 350 fr., półrocznie 650 fr., rocznie 1.200 fr. W Belgii: kwartalnie 50 fr., półrocznie 95 fr., rocznie 180 fr. W Wielkiej Brytanii: kwartalnie 8 sh., półrocznie 15 sh., rocznie 1 £ 8 sh., numer pojedynczy: 4 str. — 6 d., 6 str. — 9 d., 8 stron — 1 sh. W Szwajcarii: kwartalnie 4 fr.szw., półrocznie 7,50 fr.szw., rocznie 14,50 fr.szw. W Niemczech: kwartalnie 5 DM., półrocznie 10 DM., rocznie 20 DM. W innych krajach: kwartalnie 400 fr., półrocznie 750 fr., rocznie 1.400 fr.

WYSYŁAM WSYPY niemieckie czerwone, gwarantowanie, na 160 cm szerokie, pierze, kompiety, poszwy i poszewki wszelkiego rozmiaru, kratkę, damas, surówkę 160 cm oraz płótno białe na 160, 180 i 2 ru. szerokie. — Próbkę na żądanie. — Pisać: F. ROMANEK, 69, rue Montorgueil, Paris-2^e.

NAJLEPSZA POMOC DLA KRAJU PRZEZ HASKOBĘ LEKI • MATERIAŁY • ZYWNOŚĆ. HASKOBA LTD. 121 EARLS COURT RD • LONDON • S.W.5. Katalogi wysyła na żądanie oraz przyjmuje zamówienia: ADMINISTRACJA „SYRENY” 20, rue Legendre, Paris XVII.

KANCELARIA PRAWNA S. OLSNICKI TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY PRZY SĄDACH FRANCUSKICH 106, RUE JOUFFROY — PARIS 17^e Metro: WAGRAM. — Tel.: WAGram 88-91 Tłumaczenia urzędowe do ślubów, naturalizacji, sprowadzania rodzin i t. d. Wszelkie sprawy sądowe, cywilne i karne we Francji i w Polsce Pełnomocnictwa